

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



PIOTR BEDNARSKI

MARNY CZAS

Tower Press Gdańsk 2002
Copyright by Piotr Bednarski

Żyję! Wszystko utwierdza mnie w owym przeświadczeniu. Nawet trumna, w której leżę. Ona najwyraźniej mówi, że kiedyś umarłem. Jestem w Szeolu i czekam na zmartwychwstanie. Nadzieja nieustannie o tym szeptce. Zmartwychwstanę, w inny sposób się urodzę, inaczej będę widział i przeżywał świat. Inaczej będzie bolało serce. Wszystko odmiennie. Zmartwychwstanę! Nie pytali, czy chcę się urodzić. Nie pytali też, czy chcę umrzeć. I jednego i drugiego nie chciałem. Nie prosiłem nikogo o wyłuskanie z nieistnienia. Dobrze tam było. Rozkosz nieistnienia. Spazm nieistnienia. Przegnano stamtąd, na tułaczkę skazano, na obóz karny.

Komu zależy, abym pił ten gorzki napój? Po co mnie obudzono? Przez wieczność ani chwili spokoju. Znowu zapewne jestem przyczyną jakiegoś skutku. Nowa wina albo zaległy wyrok. Przywykłem. Stworzono mnie przecież po to, by ze mnie dworować. Oczywiście z miłości. Wszystko z miłości do człowieka. Jestem otoczony nieskończoną miłością i miłosierdziem. Umarłem. Przekroczyłem abstrakcję. Z deszczu pod rynnę. Kiedyś myślałem: „Gdy umrę, będę miał spokój”. Ale jak widzę, od miłosierdzia uciec nie można. Wygnano z raju, teraz stąd. Czym teraz poczęstują? Na darmo nie budzą. Już coś mówi mi, że mam się wypowiadać, wyprowadzić z siebie grzechy.

Stop! Słyszę szum – to daleki odgłos płomieni. Trzeba wziąć się w garść i wreszcie wysławić grzech. A więc do dzieła. Zerknijmy w grzeszną otchłań. Bez uprzedzeń i sentymentów.

CZEŚĆ I

ROZDZIAŁ I

Otworzyłem oczy i zobaczyłem groby. Pod głową też czułem mogiłę. Spałem więc na cmentarzu. Jak do tego doszło? Wczorajszy dzień tonął w mroku niepamięci. Czułem pragnienie, ale bałem się poruszyć. W końcu przemogłem się i wstałem. Opodal znajdował się budynek. Kaplica. Przy drzwiach stało wiadro z wodą. Ukląkłem i zacząłem pić. Po chwili usłyszałem głos. Podniosłem się z kolan i zobaczyłem człowieka siedzącego na ławce. Podał kubek kawy i kromkę chleba.

– Boli cię głowa? – a kiedy otrzymał potwierdzenie, dodał: Każdego z nas boli. Przywykniesz. I tu da się żyć. Będziesz pracował ze mną, mamy dzisiaj kupę roboty. Mów mi Robak.

– Nie wiesz przypadkiem, jakim cudem znalazłem się tutaj?

– Nie wiem – odrzekł natychmiast. – Ja też w podobny sposób wyładowałem na cmentarzu. Też czułem ból głowy i także od razu zagnano mnie do kopania grobów.

– A gdybym odmówił?

– Nie dostaniesz michy. Głód zmusi do pracy. Poza tym na cmentarzu bardzo chce się żyć. Niezwykła chciwość życia przepelnia każdego.

– Uciec się nie da?

– Nie! Poza tym nie ma gdzie. Tu czy tam – jednak.

– Tam – znaczy w domu? O to chodzi?

– O domu zapomnij.

– Widzę, że pogodziłeś się z losem.

– To nie to. Przepelnia mnie rozpacz i nienawiść. Wiesz dlaczego? Bo nie znam swojej winy. Ponoć brałem udział w jakiejś rebelii, a ja niczego nie pamiętam I nikt pierwszy nie przybył na ten cmentarz. Zawsze kogoś zastawał. Ty mnie, ja kogoś i tak w kółko. A czy ty czujesz się winny?

– Trudno powiedzieć.

– He?

– Nie pamiętam wczorajszego dnia.

– Czyli i ty nie potrafisz się skruszyć, choćbyś chciał. A popełniłeś przestępstwo, bo znalazłeś się na cmentarzu. Tu nie ma niewinnych. Cmentarz to ziemia wygnania.

Gdy skończyłem śniadanie, Robak wstał i skinął głową. Z łopatami na ramieniu ruszyliśmy w kierunku głównej alei, obsadzonej strzelistymi topolami. Kiedy żwir ścieżki zazgrzytał pod stopami, rozglądałem się. Dokoła, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się groby, ale nie pokrywały całej przestrzeni, pojawiając się jak wyspy na morzu; były cmentarzami na cmentarzu. Każdy kwartał znaczyły odmienne nagrobki i ogrodzenia. Między grobami, to tu, to tam, snuły się postaci, zapewne tacy jak my grabarze.

Skreśliśmy w trzeci kwartał, zatrzymując się przy rozłożystym wiązcie. Robak obejrzał drzewo wnikliwie i z niezadowoleniem pokręcił głową. Był starym wyjadaczem, więc wiedział, że czeka nas niełatwa robota. Trzeba będzie przebijać się przez korzenie. Wyjął z kombinezonu szkic. Przyjrzał się dokładnie nagrobkom po lewej i prawej stronie. Pomyłka została wykluczona.

Zaczęliśmy wgryzać się w ziemię. Robak czerwienił z wysiłku i złości. W końcu cisnął łopatę i usiadł pod drzewem, a potem chusteczką osuszył łysinę.

– Z nerwów się pocę – rzucił i popatrzył na mnie, jakby chcąc sprawdzić, czy się zgadzam.

– Zawsze dają najczarniejszą robotę. Trzeba flaki wypruć. I ciągle nowi pomocnicy. Kopalesz grób?

– Nigdy.

– No widzisz. Muszę więc mieć na wszystko oko. Zapewne myślisz, że wykopać grób, to nic wielkiego. Atak nie jest, drogi panie. Grób to dzieło sztuki. A ty jakiej profesji?

– Aktor – skłamałem.

– Mam cię! Tylko aktorzy i faszyci nie chodzą na cmentarz. Wiesz dlaczego? Bo są tandeta. To tak na marginesie. A teraz muszę się uspokoić – i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni butelkę, mrugając znacząco. – Wyjmij szkło z mojej torby.

Podaliśmy mu aluminiowy kubek. Napełnił do połowy, powąchał i cmokając wzniósł oczy do nieba.

– Cud, ambrozja – szepnął. – Masz, pij, drugiego kubka nie mam. – Rozglądając się wokół i wyrwał kępkę zieleniny. – Zagryź tym, to dzika cebula.

Wypiłem. Samogon. Złej jakości, diabeł wie z czego pędzony. Ścisnęło w gardle, zaparło dech, łzy pociekły z oczu.

– Siekiera – szepnąłem po chwili, łapiąc oddech.

– Poezja – potwierdził Robak. – Udał się. Cóż, poetom przysługują pegazy. Po takim napoju natchnienie murowane. Jeszcze po jednym? Czemu milczysz?

Siedziałem na nagrobku i śledziłem ruch alkoholu, jego ciepło, które rozpływało się po całym ciele. W chwilę później głowa stała się lżejsza. Ból został zagłuszony, czarne myśli – nie. Po jakimś czasie samogon zakiełkował smutkiem. „Ucieknę, muszę”. I decyzja w tej sprawie zapadła natychmiast: „Dzisiaj albo jutro. Rozejrzę się, zbadam teren, nic tu po mnie”. W zupełnie innym nastroju chwyciłem za łopatę. Lecz kopanie szło jak z kamienia. Brakowało wprawy. Niebawem pot zalał oczy, a po godzinie dłonie starłem do krwi. To mnie jeszcze mocniej utwierdziło w podjętej decyzji.

Wieczorem czułem się tak zmęczony, że nie miałem sił myśleć o ucieczce. Nie wypiłem nawet podanej przez Robaka przydziałowej kawy. Nie rozbierając się padłem na sprężynowe łóżko i natychmiast zasnąłem. Przyśniły się żurawie, klucz żurawi płynący na południe, wpisujący swój klangor w fiołkowe pięciolinie nieba. Żurawie śniły mi się często. Żurawie i pociągi. Obudziło mnie światło księżyca. Otrząsnąłem się ze snu i umiejscowiłem w czasie. Ból. Opuchnięte dłonie pulsowały jak serce. Ale gdy pomyślałem, że jutro znowu będę kopał groby, jutro i pojutrze, i że groby wciągną mnie w końcu do grobu, przemogłem się i wstałem. Na pościeli leżał jeszcze grabarz, moje obolałe ciało. Musiałem przekonywać tego niewolnika, żeby wreszcie podniósł się i stał się ze mną jednym, by szedł razem, poleciał z żurawiami na południe. Posłuchał. Poszedłem w stronę drzwi.

– Uciekasz? – usłyszałem głos Robaka.

– Tak.

– Powodzenia.

– Dziękuję – pokiwałem ręką i zamknąłem za sobą drzwi.

Księżyc pysznił się pełnią, ale jego światło nie dodaje otuchy, wprost przeciwnie – budzi upiory. „I te żywe i te martwe”. Uśmiechnąłem się gorzko do tej myśli, rozejrzałem się dokoła. Ani żywej duszy, tylko nagrobki – ich cienie. Miasto umarłych żywi się ciszą, tylko tam, wewnątrz, w przywalonych ziemią trumnach, szaleją pożary i rozkwitają rajskie ogrody. Na zewnątrz, na gęstej murawie stoję ja i zastanawiam się, czy mam iść górą, czy doliną: drogą czy bezdrożem, jak bezpieczniej? Do ogrodzenia nie prowadziła żadna ścieżka, aleje biegingy tylko ze wschodu na zachód, od początku do końca dnia. Musiałem zatem kluczyć wśród grobów, na przełaj nie dało się iść. Ciężki to marsz, niczym wspinaczka na Mount Everest. Musiałem się spieszyć, ponieważ zauważyłem, iż moja prędkość jest znikoma. Przed świtem powinienem opuścić ten przybytek. O szóstej zjawiają się strażnicy.

Po pół godzinie błądzenia oblałem się potem, ale nie zwalniałem tempa. W godzinę później stwierdziłem, że ogrodzenie jakby się oddalało, miast się przybliżać. „Może to złudzenia” – przeniknęła myśl. Przyśpieszyłem. Chwilami biegłem. Parę razy upadłem, byłem

więc trochę potłuczony. Krwawiła szczególnie górna warga, przycięta zębami. Nie zważałem na to. Musiałem się stąd wydostać, za wszelką cenę. Cmentarz to nie mój chleb. Jestem poetą.

Kiedy wschodnia część nieba zaczęła jaśnieć i powoli narzucać na siebie czerwień dalekiego stepowego ogniska, a nieco później królewską purpurę, wpadłem w popłoch i chcąc skrócić sobie drogę, zacząłem przeskakiwać groby. Prędko opadłem z resztek sił. Czarne plamy zawirowały przed oczyma, serce podpłynęło do gardła. Na dodatek skaleczona noga coraz mocniej doskwierała. Ale musiałem iść, zbliżał się świt. Jednak po kilku następnych krokach potknąłem się i runąłem na marmurową płytę. Ostry ból wepchnął w ciemność.

Odzyskawszy przytomność stwierdziłem, że znajduję się opodal kaplicy, w miejscu wczorajszego pojawienia się na cmentarzu. I podobnie jak wczoraj, na ławeczce siedział Robak pijący swoją poranną kawę. Krzyknąłem Szybko podbiegł do mnie, obejrzał, przyniósł wodę i opatrzył rany. Następnie usadowił na ławeczce, podał kawę i chleb.

– Nie udało się – bardziej stwierdził niż spytał.

– Jak widzisz.

– Stąd nie można uciec. Też próbowałem parę razy.

– Dlaczego nie powiedziałeś?

– Uwierzyłyś?

– Nie.

– Poza tym myślałem, że może tobie się uda. Może tobie inna, niż mnie, gwiazda świeci i inny patron czuwa nad tobą. Ale jak ty – zmienił temat – w takim stanie pójdziesz do pracy. Mogą zauważyć twoje rany i siniaki. Tu nikt nie choruje i nie umiera. Za to w pracy musisz być codziennie.

– I ja też nie umrę?

– Chyba nie. Jak wszyscy. Tu się żyje, żyje i – nagle znika. No, rozgadałem się, na nas już czas – wstał i rozejrzał się. –Pójdziemy ścieżką. Do fajrantu posiedzisz w dole, tam cię nie zauważą. A gdyby podeszli, ryj łopatą i nie podnoś głowy. Albo nie, zawiozę cię na wózku, poszaleję trochę, pokuszę licha. Włóż.

Położyłem się do trumny ułożonej na dwukółce. Przykrył mnie wiekiem i karawan ruszył. Po dwudziestu minutach byliśmy na miejscu.

– Jak ci się podoba? – zapytał wskazując głową trumnę. Wzruszyłem ramionami. – To moja – ciągnął z dumą. – Często kładę się do niej i rozmyślam. Najczęściej o tym, że nie ma nic piękniejszego, niż być pochowanym. Wkładają cię z ceremoniałem do środka – smużył marzącym głosem – potem ze łzami opuszczają do grobu, zasypują, kwiatami okładają wzgórek. Istne cudo. Śmierć jest piękna. A nas jej pozbawiono. Żyjesz i znikasz. Niczym upiór. Nieludzkie to. Perspektywa śmierci pogłębia życie.

– Boję się śmierci. Dlatego nie chodziłem na cmentarze.

– Kiep jesteś – z naciskiem powiedział Robak. – Umrzeć – to myśleć najgłębsze. Śmierć to, co najwyższe. Tylko diabeł me umiera, dlatego jest diabłem.

– A Bóg?

– A czy Chrystus nie umarł? Tylko na swój sposób, nie jak człowiek, ale umarł.

– A ty kim jesteś? Człowiekiem, upiorem, diabłem?

– Jeszcze człowiekiem, bo pragnę umrzeć. Ale teraz sza, wskakuj do grobu i czekaj, muszę odwieźć trumnę. Jej również nie wolno posiadać, ale chcę odejść jak człowiek, chcę umrzeć.

Nie doczekałem się powrotu Robaka. Do południa siedziałem w grobie, nasłuchując. Nikt nie przyszedł. Żaden odgłos nie zakłócał ciszy. Zacząłem czuć się nieswojo. Postanowiłem wrócić do kaplicy. Niszcząc ściany dołu z trudem wygramoliłem się na powierzchnię i przysiadłem pod więzem. Wśród pobliskich kwartałów nikt nie pracował. Pokuśtykałem więc w kierunku swojego nowego domu.

Na ławeczce Robaka siedział nieznajomy osobnik z przekrwionymi oczyma i rozczochraną czupryną. Usłyszawszy moje kroki drgnął. Dostrzegłszy mnie wstał i uśmiechnął się nieśmiało. Dwukółka leżała na boku, ale już bez trumny.

– Gdzie Robak?

– Znaczy ten, który przyciągnął wózek?

– Właśnie o niego chodzi.

– Nie wiem – odrzekł, kręcąc palcami młynka i nerwowo mrugając. – To znaczy wiem. Pomogłem mu zdjąć trumnę z wózka. Poczęstował mnie samogonem. I ni z tego, ni z owego – zniknął. Był i nagle ulotnił się. Jak kamfora.

– Od dawna tu jesteś?

Od rana. Nie wiem jakim cudem tu się znalazłem. Po prostu obudziłem się pod tamtym grobem – i wskazał palcem doskonale znane mi miejsce. – Niech mi pan powie jak stąd wyjść.

Wszedłem do kwatery, zjadłem parę kanapek, potem zdjąłem ze ściany torbę Robaka, wyszedłem i usiadłem obok przybysza. Nalałem do kubków bimbru porozumiewawczo puszczając oko.

– Za znajomość – rzekłem. – Za pomyślność.

Wypiliśmy jednocześnie. Cisnąłem garnuszkiem o ścianę i bez słowa wyszedłem na aleję. Na drodze nie było widać żywej duszy. Do zmroku nie spotkałem nikogo. Kaplica szybko zniknęła mi z oczu. Czyli była to właściwa droga. Ścieżka uciekała mi spod nóg. Niebo pokrywały chmury, jakby podkreślając duszącą cmentarną szarość. Ciepłego, żywego koloru mi brakowało i to tak mocno, że zebrało się na płacz. I zapłakałem. Nie tylko z tego powodu. Wkrótce spostrzegłem, że aleja skręca w prawo pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, prowadząc prosto w oświetloną bramę. Była tuż, pulsowała i wirowała świetlistymi smugami. Dalszą drogę osłaniały wysokie mury, zaś bruk emanował złocistą poświatą. Byłem więc widzialny jak na dłoni, co natychmiast ożywiło niepokój. Ruszyłem biegiem. Światło bramy oslepiało wciąż mocniej. Jednak po przekroczeniu pewnej granicy jej blask zaczął tracić na intensywności. Brama w końcu zbladła zupełnie, bardziej przypominając rozgrzaną do czerwoności metalową kratę. Zobaczyłem furtkę. Resztki światła nagle zgasły, a ziemia osunęła się spod nóg. Runąłem w dół.

ROZDZIAŁ II

Zapadłem się pod ziemię i wylądowałem na czymś twardym. Niefortunnie, na skaleczoną nogę. Ból ścisnął serce obręczą, ale ogarnięty przerażeniem nie krzyknąłem. Oparty plecami o coś twardego wyciągnąłem nogę przed siebie. Ból był tak dojmujący, że wydawało mi się, iż mam nie jedną, a dziesięć nóg i każdą z nich przeszywają rozpalone ćwieki.

Zapaliło się światło. Znajdowałem się w celi bez okna. Drzwi z nieśmiertelnym judaszem wzmacniały blachy. Pryczę, wiszącą na łańcuchach półkę, pewnie zamykano na dzień. Stał też stolik i taboret. – „Z deszczu pod rynnę – pomyślałem. – Z cmentarza do więziennej celi. Każdemu co jego”.

Po chwili zgrzytnął klucz i do środka wszedł wąsaty jegomość w smokingu, poplamionym i niechlujnym; kołnierzyk koszuli był brudny, a krzykliwa muszka zwisała niczym ptak z przetrąconymi skrzydłami. Podkrążone oczy opowiadały ukrwionemu nosowi o swoich wątrobowych zmartwieniach, a ten, z kolei, rozczulał się nad własną wieńcówką. Wszystko, nawet ręce, mówiły, że Paweł Pawłowicz, bo tak się nazywał jegomość, nadużywa alkoholu. Teraz też pachniał samogonem, i chamską dobrocią. Tak intensywnie, że żołądek podpłynął wyżej. Przemogłem się, przełknąłem rzeczywistość i pomasażowałem gardło. A Paweł Pawłowicz w tym czasie ostentacyjnie złożył pryczę, stał kurz ze stołu i postawił wazon z jednym czerwonym goździkiem.

– Oj, dostałem dzisiaj za ciebie – rzekł, skończywszy sprzątanie. – Zapomniałem doprowadzić cię na śledztwo. W życiu się nie przydarzyło. Taki fachowiec, a tu masz babo placek – niedopatrzenie. Pewnie będą przesłuchiwać w celi. A może nie. Kto wie, co im do głowy wpadnie... Na wszelki wypadek posprzątałem.

– Przecież dopiero przed chwilą tu się znalazłem. Ziemia zapadła się pod nogami... Z cmentarza uciekłem...

– Każdy mówi: przed chwileczką – przerwał Paweł Pawłowicz. – Takie gadanie. I nigdzie nie byłeś, na żadnym cmentarzu, nie wyprowadzałem cię przecież. Są tylko jedne drzwi, do których zapasowego klucza nikt nie dorobi. Każdy mówi, że spadł z góry, z nieba albo cmentarza, a popatrz na sufit – lity kamień, co najmniej pięciometrowej grubości, a może i więcej. Nasz dom wykuto w skale, dachem jest szczyt góry. O czym ty pleciesz?

– Która godzina? – zapytałem, aby przerwać tyradę.

– Co ma z tym wspólnego godzina? Tu nie ma czasu. Zamiast zadawać głupie pytania, ogarnij się trochę – przyniósł z korytarza miskę wody i wieszak z ubraniami. Przytaszczył też ogromnych rozmiarów lustro. Z przyjemnością umyłem się, następnie ogoliłem. Mydło, woda toaletowa i przybory do golenia były wysokiej jakości. Klasę miała również jedwabna koszula i krawat, także kamizelka wyposażona w złotą dewizkę. Wszystko to niezwykle kontrastowało z otoczeniem. Paweł Pawłowicz z zachwytem patrzył na mnie, obchodził dookoła, przejeżdżał miotką po ramionach, znajdował niewidzialne niteczki i cmokał z podziwu.

– Udało się – szepnął zadowolony. – Nie wyszedłem jeszcze z wprawy. Co byś sobie życzył? – zapytał i stanął obok, niczym kelner z dobrej restauracji.

– Napiłbym się koniaku – rzuciłem żartobliwie.

– Ależ oczywiście – odparł przymilnie. – Koniak w dużej koniakówce już dawno powinien na ciebie czekać. Kawa również. Momencik.

I rzeczywiście, dosłownie po minucie, do celi wjechał wózek barowy. Paweł Pawłowicz uklonił się szarmancko, z uśmiechem. Poczulem błogość. Robiłem wszystko, aby nie myśleć o zaistniałej sytuacji. Łyknąłem koniaku i sięgnąłem po lody. Pistacjowe. Miały niezwykle, trudny do opisania, smak – coś z goryczki i rozkoszy. Kawa natomiast pachniała Arabią, Arabią Felix, więc natychmiast usłyszałem dyskretną muzykę haremów. A kiedy zgasły rytmy Orientu, ponownie ująłem w dłonie, teraz już nabożnie, wielki kieliszek i zacząłem go

ogrzewać. Obudziłem słońce, ukryte w koniaku. Był to dobry stary Martel, cud tej ziemi. Przytuliłem szkło do ust i lekko przechylając pozwoliłem paru kropelkom spłynąć na język. Delektując się zapomniałem o wszystkim. Ale o mnie nie zapomniano. Usłyszałem, jakby przypadkowo, szept z głośnika; mówiono, że moje pojawienie się w tej celi wzbudziło popłoch. Była to przecież cela śmierci, cela ostatniego życzenia I że Prezydent dowiedział się o tym szybciej niż przypuszczano.

– Jak się czuje nasz podopieczny? – tym razem głos dobiegał z korytarza.

– Ubrałem go jak należy, według regulaminu. Wygląda niczym księżę z bajki – wyjaśniał Paweł Pawłowicz, otwierając drzwi Naczelnikowi.

Gestem ręki zaprosiłem przybyłego do stolika. Nie odmówił, nie miał prawa odmawiać skazańcowi. Usiadł na przyniesionym przez Pawła Pawłowicza taborecie.

– No cóż, wypijmy za naszą znajomość.

– Odważniej i głośniej – dodałem mu otuchy. – Proszę się nie krępować, jesteśmy przecież u mnie. Niech się pan choć raz poczuje mistrzem.

– Ależ tak, oczywiście – odrzekł natychmiast lekko zakłopotany. – Nie wiem czy pan wie, że jestem Naczelnikiem tej historycznej twierdzy, pamiętającej czasy, no i oczywiście atłasy, naszych wspaniałych przodków.

– I tylko tyle po nich dobrego – wskazałem wzrokiem na koniak, w którym wyczyniało cuda światło sączące się z żarówki; wypełniając sobą i szkło, i napój, tasowało kolory jak iluzjonista karty, a refleksy przemieniały się w alegorie i przypowieści, przekształcały w nuty i drgały niczym gwiazdy na obrazach Van Gogha.

– Relikty odległych czasów – potwierdził skwapliwie Naczelnik.

– Pijmy więc tę poezję.

– Ciszej, Prezydent nie lubi poezji.

– Bez trwogi, jest pan u mnie – przypomniałem. – Jeszcze raz podkreślam, że gości pana poeta, proszę więc się niczego nie obawiać.

– Oczywiście, oczywiście – przytaknął Naczelnik. – Proszę jednak powiedzieć, w jaki sposób przemycił się pan do tej celi. – To długa historia – uśmiechnąłem się, obdarzony przez koniak sporą beztróską. – Długa i dziwna jak biblia.

– Właśnie, właśnie, jest pan poetą, zatem potrafi wszystko pięknym stylem przekazać. Proszę, tak bardzo lubię słuchać poetów.

– Czy to konieczne?

– Niech się pan wczuje w moją sytuację. Zapytają o pana i co powiem?

– Czyli jestem więźniem?

– To cela śmierci. Czeka pan na egzekucję.

– A kto mnie skazał?

– Jeszcze nikt, póki co. Wpierw wprowadzają do tej celi, dopiero potem skazują. Takie jest prawo.

– Spadłem z nieba – powiedziałem. – Przecież nie mogłem spaść z sufitu.

– Oczywiście, z sufitu nie – szepnął Naczelnik i głęboka zmarszczka zatańczyła bluesa na jego czole. – Chyba oberwę za ciebie. Razem oberwiemy – i podniósł się z taboretu.

Zgrzytnęła zasłonka judasza. Wrócił Paweł Pawłowicz, energicznie prężąc się przed Naczelnikiem.

– A więc to tak – szepnął znowu Naczelnik. – Oberwie się nam, gdy szydło wyjdzie z worka. Poezja?! Wyprowadzić na spacer – zdecydował, bezwiednie tarłasząc miedziany guzik Pawła Pawłowicza. – Bo nie ma dwóch zdań, że Prezydent zapragnie ujrzeć skazańca.

Guzik służalczo zatrzepotał skrzydłami jakiegoś potwora, który miał swoją legendę i stanowił godło państwa.

Naczelnik poklepawszy Pawła Pawłowicza po ramieniu, odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie, coś niezrozumiale mamrocząc. Wyglądało to tak, jakby kłócił się sam z sobą. Lub strofował za coś, czego nie powinien był zrobić.

ROZDZIAŁ III

Zostałem wyprowadzony na spacer nie na więzienne podwórko, otoczone strzelistym murem ufryzowanym arabeskami z kolczastego drutu, lecz do przywieszennego parku. Była to zachcianka, wielkopański gest Pawła Pawłowicza, którego od rana bolała głowa.

Bukowo-grabowy park zasiedlał całe wzgórze. Aleje obsadzono jaśminem i głościem. Po wejściu do parku Paweł Pawłowicz natychmiast wcisnął twarz w rozkwitłe kiście, rozkoszował się aromatem, aż drząc i pomrukując z zachwytu. Jego twarz ożywiła się, jakby przeżył olśnienie. Popatrzył na mnie przenikliwie, uśmiechnął się i strzelił palcami.

– Wierzę ci – szepnął zdejmując z twarzy maskę, tak cieniutką i misterną, że wydawało się niemożliwe, aby wykonała ją ludzka ręka. Zamrugalem ze zdumienia. – Ty też masz taką – wyjaśnił i zdjął następną, jeszcze bardziej finezyjną – tylko nie potrafisz jej ściągnąć. Każdy człowiek ma parę masek. Jedna twarz i kilkanaście masek. Twarz należy do serca, maska jest twoim dziełem. Wierzę ci – powtórzył – i dlatego dam ci przepustkę. Albo nie, zrobię dla ciebie więcej – obdarzę wolnością. Byłem niegdyś Prezydentem, więc mam do tego prawo – i tańcząc poloneza, z mruczandem odsunął park tak, jakby zmieniał dekorację.

Znaleźliśmy się nagle na ulicy obsadzonej kasztanowcami, z których lekkie poddmuchy wiatru strząsały kwiaty, więc chodnik i jezdnia przypominały drogę, po której, dopiero co, przeszła procesja maryjna albo śnieżna zadymka.

– No, idź i nie dziękuj – ukłonił się, przesłał dłonią pocałunek.

Dopiero po chwili umiejscowiłem się w czasie i przestrzeni, rozpoznając swoje rodzinne miasto. Znajdowałem się na ulicy Gwiazdnej, za drugą przeczną, wśród starych akacji, nieopodal, stał mój dom. Tam czekała Luiza. „Co jej powiem? Ile dni mnie nie było?”

Śpiesznym krokiem ruszyłem przed siebie. Furtka była uchylona jak zawsze. Na ścieżce zobaczyłem nóż, służący do zeszkrobywania farb z palety. Byłem przywiązany do niego, podniosłem więc, a ze pordzewiał, zawinałem w chusteczkę; Usłyszałem śmiech Luizy. Dobiegał z salonu. Wszedłem bez pukania frontowymi drzwiami. I to, co zobaczyłem zaszokowało. Za udekorowanym owocami stołem siedział nie kto inny, tylko Paweł Pawłowicz, a na jego kolanach – Luiza. Obejmowała go za szyję. Chciałem się wycofać, ale Paweł Pawłowicz skinął zapraszającym gestem. Luiza zsunęła się z jego kolan, obciągnęła białą bluzkę i poprawiła fryzurę.

– Dzisiaj twoje imieniny – rzekła podchodząc z uśmiechem. Ucałowała i połaskotała językiem ucho. – Twórczych pomysłów życzę. Paweł Pawłowicz przyszedł pierwszy, więc nieustannie pijemy twoje zdrowie, prawda Pawełku?

– Prawda i tylko prawda – odrzekł z uśmiechem i przechylił kieliszek. – Za twoje zdrowie wypilem. Na ciebie czekam, wierzyłem, że wrócisz. Do domu zawsze się wraca. Kto by nie wrócił do Luizy? Rozkosz nie kobieta. Do takich kobiet jedna droga. Kto by nie wrócił do Luizy?

– Dziękuję – skwitowała komplement uśmiechem i usadowiła się naprzeciw Pawła Pawłowicza. – Oto masz przed sobą swoją tęsknotę.

– Czy musimy tak od razu? – zapytał.

– Czym prędzej, tym lepiej – uśmiech nie opuszczał warg Luizy.

– W takim razie usiądź przy mnie, będzie raźniej – ponownie usiadła mu na kolanach i objęła za szyję. – A więc, kochasiu – zaczął Paweł Pawłowicz, zwilżając językiem swoje pulchne usta – jestem sędzią śledczym i przybyłem tu, aby cię przesłuchać. Mogłem cię wezwać do biura, ale wolałem pofatygować się sam.

– Czy nie mogłabyś usiąść obok, na krześle? – zapytałem Luizę.

– Owszem – przytaknęła – ale na kolanach Pawła Pawłowicza jest przyjemniej. Jeśli to ci przeszkadza...

– Nie przeszkadza – twardo zaprzeczył Paweł Pawłowicz. – Jeśli nam nie, to tym bardziej jemu. Ja tu panem, on tylko solenizantem i podejrzanym. Mów, Luizo, o co podejrzany jest twój mąż.

– O morderstwo – odpowiedziała szybko, jak uczennica. – O gwałt i morderstwo albo odwrotnie.

– Sam widzisz, kotku, o co jesteś oskarżony. Oto dowód zbrodni – i Paweł Pawłowicz wyciągnął z teczki, a następnie odwinął z chusteczki nóż, taki sam, jak znaleziony przy furtce. Odruchowo wsunąłem rękę do kieszeni. Noża już tam nie było .

– Nie szukaj – upewnił mnie Paweł Pawłowicz. – Nóż, który podniosłeś przy furtce, leży teraz na stole. A to, co uważałeś za rdzę, jest zaschlą krwią. Dowód czekał na ciebie, bo wiedziałem, że go podniesiesz. Zatem jak – przyznajesz się do winy?

– Nie, nie wiem przecież o co chodzi.

– Powiedz przynajmniej kto zamordował kochankę Prezydenta, poetessę Folk.

– Nie wiem, nie cierpiałem jej, działała mi na nerwy.

– Nie cierpiałeś – to świadczy przeciwko tobie. Widziano was razem, przyłapano na gorącym uczynku, in flagranti, jak to się mówi.

– I to gdzie – z teatralną ironią wyszeptała Luiza – w pracowni, wśród arcydzieł, obok mojego nie dokończonego aktu. Na moich więc oczach, potworze, mnie zbeszcześciłeś.

– Niemożliwe. Bzdury!

– A jednak to fakt, są świadkowie.

– Nie mam nic wspólnego z morderstwem.

– Nienawidzisz Prezydenta, dlatego popełniłeś ten absurdalny czyn.

– Jeszcze raz powtarzam: jestem niewinny.

– Zabawny jesteś w swoim uporze. To na nic się nie zda, a wręcz pogorszy sytuację, zagmatwa ją, a ja tego nie lubię. Wiesz co – zwrócił się do Luizy – wpadł mi świetny pomysł do głowy. Przeprowadzę proces pokazowy tu, u ciebie w mieszkaniu. Zadzwoń do biura i przekaz im moją sugestię.

Luiza podeszła do telefonu i wystukała numer. W czasie, gdy z drugiej strony nikt nie podnosił słuchawki, do pokoju wszedł sędzia w urzędowym stroju. Wszedł szybko, nonszalancko. Jego ciemne oczy płonęły. Przypominał człowieka, który długo czekał na moment decydujący o dalszej karierze.

– Proszę wstać, sąd idzie – krzyknął demonicznie, zatrzymał się na środku pokoju i zaczął odczytywać wyrok: – Na podstawie KK art. 12 §14, 18, 35, za zdradę tajemnicy państwowej skazuje się tego a tego na karę śmierci. Wyrok nie podlega apelacji i ma być wykonany natychmiast w miejscu publicznym.

– Protestuję – krzyknął, bryzgając śliną, Paweł Pawłowicz. On popełnił morderstwo. Mam na to dowody i świadków. Inny § mości panie.

– Trudno – odrzekł sędzia. – Spóźnił się pan. Ktoś jest szybszy i sprytniejszy. Dwa razy nie można powiesić tej samej osoby. Aby uszanować wysiłek, by pańska praca nie poszła na marnotrawstwo, pozwolimy panu, Pawle Pawłowiczu, założyć skazańcowi pętlę na szyję. Proszę pospieszyć się z egzekucją. Żegnam i jednocześnie składam kondolencje pani Luizie. Mam nadzieję, że wyprawi pani stypę i zostanę na nią zaproszony.

– To mój obowiązek – przymilnie odrzekła Luiza wreszcie odkładając nadal podniesioną słuchawkę. – Nie odmówi pan wdowie. Proszę już czuć się zaproszonym. Taki zaszczyt.

Sędzia uśmiechnął się, skinął głową i wyszedł. A za nim pozostali, wynosząc mnie na ramionach z domu i kierując się pod ratusz, gdzie miałem zostać stracony. Każdy chciał dźwigać skazańca, choćby dotknąć, jakby od tego zależało ich życie. Paweł Pawłowicz też był niezwykle gorliwy, nadgorliwy, bo spiesząc, aby założyć mi pętlę potknął się i uderzył boleśnie o krawędź trotuaru, zasyczał z bólu i – obudził się.

ROZDZIAŁ IV

Nie zostałem wyprowadzony na spacer, bo Pawła Pawłowicza rozbolała głowa. Zlekceważył polecenie Naczelnika, a Prezydenta się nie bał, gdyż w swoim życiu piastował to stanowisko. Krótco ale piastował. W marionetkowym, rewolucyjnym i skłóconym rządzie. Wybaczone mu ów wyczyn, skazano na dziesięć lat, zaś po roku amnestionowano. Ale przez ten rok tak zdążył pokochać więzienie, że nie potrafił się z nim rozstać.

Nie tylko nie wyprowadził mnie na spacer, ale wprost przeciwnie, wszedł do celi, zażył tabletkę przeciwbólową, otworzył pryzę i położywszy się na niej pojącał chwilę, posiekał, pogrymasił, coraz ciszej i ciszej, jak wiosenny zefirek, wreszcie usnął niczym niemowlę. Wówczas wyszedłem z jego snu i opuściłem celę, zabierając pęk kluczy. Na korytarzu, prócz mojej, znajdowały się jeszcze trzy cele. Zajrzałem do każdej. Były puste. Wszedłem na główny korytarz z wieloma drzwiami. Któres z nich prowadziły na wolność. Ale które? Nagle spostrzegłem, że wszystkie są lekko uchylone. Podeszedłem do pierwszych z brzegu. Bez żadnego odgłosu i skrzypu zamknęły się przed nosem. Nie miały klamek ani otworów na klucz. Obszedłem korytarz naokoło z podobnym skutkiem. Kiedy odchodziłem drzwi natychmiast się uchylały. W wąskich szparach nikogo nie dostrzegłem, ale czułem, że jestem obserwowany i to przez wiele par oczu. Ogarnęła mnie rozpacz, potem gniew. Zdjąłem ze ściany topór strażacki, podeszedłem do najbliższych drzwi i zacząłem rąbać. Te jednak nie ustępowały. Ostrze odbijało się jak od metalu. Rychło opadłem z sił, odrzuciłem topór i usiadłem przy ścianie. Po chwili zapaliłem papierosa. Pałac, przypadkowo spostrzegłem, że jedne nie są uchylone, a zwyczajnie otwarte. Wszedłem tam. Pomieszczenie okazało się małym przedpokojem wiodącym dalej, pukając otworzyłem następne drzwi i znalazłem się w kolejnym pomieszczeniu, z oknem bez krat. Z wnęki natychmiast wyszła kobieta. Uśmiechając się wskazała ręką fotel.

– Albo nie, usiądźmy na kozetce. Mam już dość samotności.

Usiadłem posłusznie obok niej. Wzięła moją dłoń i przytuliła do ust. Były suche i gorące.

– Sen mnie przemienił, wczorajszy sen – szepnęła. – Do tej pory nie doskwierała mi samotność. Wyśniłam cię. Jesteś poetą, prawda? Poetą, który, od czasu do czasu, maluje obrazy.

Potwierdziłem.

– Śniło mi się, że znalazłam się w twoim pokoju, kiedy kończyłeś malować mój portret. Ale nie ja byłam modelką. Portret wstrząsnął mną. Zobaczyłam siebie w prawdziwym wymiarze. Chciałam podziękować, może nie tyle podziękować, co zobaczyć twoją twarz. Głos wewnętrzny podpowiadał, że dostrzec możesz mnie tylko wtedy, jeśli zajmę miejsce modelki. Ta zaś groziła nożem. Nie bacząc na to, podeszłam. Zauważyłeś, wyrwałeś modelce nóż i wyprowadziłeś ją z pracowni.

– Co się stało z modelką?

– Wsiadła do samochodu, który stał przed domem i odjechała. Dlaczego o to pytasz?

– Bo oskarżają mnie o morderstwo. Właściwie już oskarżyli i skazali.

– Nic o tym nie wiem. Kiedy?

– Godzinę temu. Uciekłem ze snu Pawła Pawłowicza prowadzony na egzekucję. Proces odbył się w moim domu. Świadczyła przeciwko mnie nawet połowica. Dziwne tym bardziej, że ja żony nigdy nie miałem. Nie wiesz przypadkiem jak nazywała się modelka?

– Nie. Być może zajmowała się poezją, bo gdy ją wyprowadzałeś, darła się w niebogłosy, że gwałcą jej poetycką wrażliwość. Nie martw się – szepnęła i przytuliła znowu moją dłoń do swoich gorących ust. – U mnie jesteś bezpieczny. Nie pozwolę cię skrzywdzić.

– Bezpieczny? Przecież siedzę w celi śmierci. U ciebie znalazłem się przez przypadek.

– To nie przypadek – odrzekła. – Ale nie roztrząsajmy tego w tej chwili. Posłuchajmy jak płynie czas.

Przytuliła się do mojej piersi, a ja zamknąłem oczy. I rzeczywiście usłyszałem czas. Stałem się częstką tulającą się do mnie Beatrycze. Ja byłem jej, a ona moim czasem. Widziałem to tak wyraźnie, jak nic dotychczas. Poddałem się temu. Usta Beatrycze były miękkie i miały smak poziomek zerwanych o świcie. Jej smagła twarz o rysach bizantyjskiej madonny fascynowała wciąż mocniej i mocniej. Poszliśmy w siebie, w swoje dale i rozłogi, nieba i ziemię, aż doszliśmy do dnia stworzenia. Wzięliśmy się za ręce, porwani tańcem. Wywiódł nas z tego rajy. Znowu znaleźliśmy się na ziemi. Beatrycze oparta o moje ramię słuchała zwierzenia o śnie i cmentarzu, a kiedy skończyłem, odwzajemniła się opowieścią o sobie.

– Jestem córką Prezydenta – ciągnęła szeptem – ministrem bez teki. Czekam na nominację. Tu w ogóle panują szczególne prawa. Każde skrzydło pałacu, w którym się znajdujemy, ma inną etykietę, odmienne normy. To, co uchodzi za zbrodnie w jednym skrzydle, w drugim nie podlega karze. Nieistotna jest wina, lecz to, w którym skrzydle cię zamkną, albo do którego przeniosą. Teraz, kochany wracaj do celi, a ja się postaram o twoje zwolnienie. Przenieś mnie tylko przez próg, abym miała pewność, że mnie poślubisz.

Uczyliłem jak prosiła. Potem wyszedłem, by wrócić do celi i czekać na ułaskawienie. Tuż za drzwiami rzuciło się na mnie dwóch drabów. Emanowali taką chamską siłą, że zrezygnowałem z oporu. Obezwładnili kaftanem bezpieczeństwa, mocno związali i rzucili na nosze.

Zaczęła się żegluga po korytarzach. Wkrótce straciłem rachubę i orientację. Za dużo mijaliśmy drzwi, okienek i zakrętów. Wszystko wydawało się identyczne, nawet pajęczyna w kątach. Wreszcie wniesiono mnie do jednoosobowego pomieszczenia, uwolniono z kaftana, przeniesiono na ceratową leżankę i unieruchomiono pasami. Po chwili wszedł mężczyzna w białym fartuchu, spojrzał znudzonym wzrokiem i włączył aparaturę. Szybko zorientowałem się, że to nie moje wnętrze jest przedmiotem ich zainteresowania. Moi oprawcy najzwyczajniej w świecie oglądali film kryminalny. Fabuła była banalna. Ktoś tam kogoś zabił, aby posiąść skarb. Gdy w końcu zdobył fortunę, nie wiedział co z nią począć, nie mógł też pozbyć się zdobytego skarbu. Biedak przerastał siebie, rozdawał jałmużnę, łajdaczył się i biczował, topił i wieszał. Nic z tego nie wychodziło. W końcu umarł z rozpacz. Ale okazało się, że nawet śmierć nie jest w stanie uwolnić go od skarbu. Postradał więc zmysły i zaczął chyłkiem opuszczać cmentarz i uwodzić kobiety. Któregoś dnia uwiódł córkę notabla, został przyłapany in flagranti i skazany na banicję. Kiedy film się skończył, oglądający porozumieli się wzrokiem.

– Badania wykazały, że jesteś zdrow – rzeki dobrodusznie jeden z nich. – Cóż, napytałeś sobie biedy. Uwiódłeś córkę Prezydenta, a za to płaci się gardłem.

– Oglądanie filmu nazywacie badaniem?

– Nie film, przyjacielu, lecz specjalistyczne badania. Dotarliśmy do rdzenia twojej osobowości. Widziałeś sam siebie – i nacisnął guzik. W drzwiach pojawiło się dwóch mundurowych.

– Odstawić do więzienia – podpisał wydruk komputerowy i wręczył przybyłym.

Odprowadzono mnie do celi, obudzono Pawła Pawłowicza, wręczając kopertę z wynikami badania. Rzucił kopertę na stół, ziewnął i przeciągnął się lubieżnie.

– Dziękuję ci za to, że pozwoliłeś się przespać – rzekł ciepło. – Bardzo mi tego brakowało. Jestem przepracowany. Czuję się teraz taki rześki, jakbym się przed chwilą narodził. Odwdzięczę się, chodźmy na obiecany spacer. Tobie też się coś od życia należy. A tymi badaniami się nie przejmuj, są bez znaczenia – i by potwierdzić swoje słowa, podarł kopertę i wrzucił do kosza na śmieci. – Tak między nami mówiąc, to narobiłeś sobie gnoju, uwodząc Beatrycze. Prezydent ma odwiedzić nasze skrzydło, a ty mu córkę uwodzisz. Wstyd! Naczelnik dostanie zawału. Ale mnie to cieszy, nie masz pojęcia ile sprawiłeś radości. Z tego powodu chce mi się tańczyć. Chodź. Potanńczymy chwileczkę i pójdziemy na spacer.

Uległem. Wkrótce i mnie porwał rytm. Taniec wyniósł nas korytarzem na kolejne korytarze i dalej. Tańczyłem z fanatyczną pasją, a nawet dziko, w niczym nie ustępując wodzirejowi. Wreszcie Paweł Pawłowicz opadł z sił i usiadł na ławeczce, nie mogąc sobie poradzić z zadyszką.

– Miała być sztuka, balet miał być – szepnął chrapliwie – a sam diabeł wie, co z tego wyszło. Zgnilizna. Wszędzie zgnilizna, w śpiewie, w tańcu, w słowie. Nawet sen cuchnie zgnilizną. Skąd się to bierze? Skąd ta zaraza? Czy to czasem nie od ciebie? Dostyc jednak, rozgadałem się niepotrzebnie. Nie wytrzymałem. No, starczy, pora na nas. Ale zanim ujrzysz park, wstąpimy na rozprawę. Świadkiem jesteś, coś tam ponoć kiedyś widziałeś. Powiesz parę słów i pójdziemy w plener.

Otworzył dębowe drzwi z mosiężnymi podwójnymi klamkami, wepchnął do środka i zamknął, nie wchodząc ze mną.

ROZDZIAŁ V

Sala była przeraźliwie pusta, półmrok pętał się po kątach. Poczułem się nieswojo. Odruchowo naciśnięta klamka nie ustąpiła – cofnąć się już nie mogłem. Przyzwyczajone do ciemności oczy powoli wyławiały jakąś rampę. Niebawem usłyszałem odgłosy, przypominające echo dalekich grzmotów, a w raz z tym zaczęła rozsuwać się kurtyna. Na niespodziewanie oświetlonej scenie pojawił się gorączkowo biegający Paweł Pawłowicz. Zmontował scenografię, ześrodkował światła reflektorów, nakrył czerwonym sukniem stół, w końcu przyjrzał się swojemu dziełu, cmoknął z zachwytem i przywołał kiwnięciem ręki. Widząc moje ociąganie ukłonił się kuglarsko i zniknął za kulisami.

Na scenę wszedł jegomość w osobliwym stroju. Żadna część jego ubioru nie pasowała do siebie. Jednak odnosiło się wrażenie, że za ową niedbałością kryje się coś więcej. I twarz nie budziła odrazy. Zwłaszcza, kiedy zaczynał się uśmiechać. Jegomość usiadł za stołem nie spuszczając ze mnie oczu.

– Jesteś oskarżony o nielegalne przekroczenie granicy mojego państwa. Mów: skąd przybyłeś i w jakim celu?

– A gdzie się znajduję i kim pan jest?

– Pierwsze pytanie zadałem ja. Interesuje mnie sposób pańskiego przeniknięcia do mojego kraju.

– W swoim czasie obudziłem się na cmentarzu, z pewnych powodów uciekłem stamtąd. Przed bramą cmentarza zapadłem się pod ziemię, lądując dokładnie w celi waszego więzienia. I to w celi skazanych na śmierć. Oto cała odyseja.

– Czy pamiętasz, co było przed cmentarzem?

– Absolutnie nic. Jakbym się wyłonił z próżni.

– Zdumiewające! Podobnie i ja. Jesteś moim bratem. Obiecanym bratem, dobrym bratem, który ma mi ukrećić łeb, jak kogutowi. Taki dręczył mnie sen. Podejź, ucałuj. Chyba tak miało być, nie uważasz?

Uściliśmy się, ucałowali trzykrotnie, jak na braci przystało i usiedliśmy obok siebie przy stole. Paweł Pawłowicz podał herbatę w prześlicznych porcelanowych filiżankach. W życiu nie piłem tak dobrej herbaty. Upajał i aromat, i bukiet smakowy. Wypiłem jedną filiżankę, drugą, miałem też ochotę na trzecią. Wstydziłem się poprosić, ale myślałem o niej. Wreszcie przemogłem skrupowanie.

– Poprosiłeś o trzecią filiżankę. Oto koronny dowód żeś moim bratem. Tylko ja lubię ten gatunek i tylko ja potrafię wypić jej trzy filiżanki.

– Wątpliwej wartości dowód – odparowałem.

– Bracie, braciszku, czy przypadkiem nie dręczy cię problem istnienia Boga?

– Nie, nigdy. Jeśli ja istnieję, musi istnieć też Bóg. Jestem bezpośrednim dowodem na Jego istnienie.

– Zdumiewające! A czy go nienawidzisz?

– Wprost przeciwnie – kocham. Wydaje mi się, że noszę go w sobie, jak ciężarna matka dziecko

– A ja nienawidzę. Totalnie. Nadto pragnę, aby wszyscy nienawidzili.

– Potworne grubiaństwo... bracie.

– Potworne – zwilżył wargi językiem, popatrzył na mnie mrużąc oczy i uśmiechnął się kącikami ust. – Dla mnie nienawiść jest za łagodna. Chciałbym, aby zawładnęło mną uczucie stokroć podlejsze. Coś, co by przeraziło mnie samego do głębi.

– Jesteś chory.

– A wiesz za co nienawidzę? Za ograniczenie wolności. On może wszystko, a ja tak niewiele. W każdej chwili może mnie zniszczyć i rozproszyć. A co ja mogę? Nieustannie jestem pod pręgierzem. Jest wielki, mocarny, a ja mały, malutki, robaczek. A przecież mógł

dać mi coś więcej, niż dal. Mógł i nadal może. Nie chce. Nie wiem nawet, co będzie jutro. To, co wiem znaczy tyle, co zeszłoroczny śnieg.

– Sam blokujesz dostęp Jego miłości.

– Skąd – zaprzeczył skwapliwie. – Kiedyś kochałem Go jak ty i też wszystko wychodziło na opak, jakbym wyciągał z krzywego zwierciadła. Jakąś skazą mnie obdarzył. Dlaczego? Przecież On wszystko może, może też pozbawić mnie nienawiści. A nie chce.

– I za to także należy Go kochać.

– On ma wszystko, ja – ochłapy. Spójrz na świat. Sama potworność. Aby żyć trzeba zabijać, niszczyć życie. Za to mam dziękować?

– Nie bądź taki, jak świat.

– To nie dla mnie, nie dam się zjeść w kaszy. Ja też chcę poczuć smak samowoli. Chcę tworzyć, cokolwiek, choćby zło. Nie władza mnie urzeka, ale tworzenie, które umożliwia...

– Jesteś chory – uciałem. – To twoje pojęcie. Zatem dlaczego tu ciebie rzuciło? On rzucił? Spotkaliśmy się, więc jest to znak, że i ty masz skazę. Nie masz wyjścia: staniesz się taki, jak ja, albo cię zniszczę.

– Chcesz być kimś innym, niż jesteś. Ja chcę pozostać sobą.

– Nie mów tak, bracie. Też jestem sobą. Gdybym nie był, kochałbym jak ty.

– Czas minął – przerwał Paweł Pawłowicz, wychodząc zza kulis. – Zaczynamy posiedzenie sądu.

– Oczywiście, oczywiście – przytaknął Prezydent, nieustannie zwilżając wargi, jakby trawiła go wewnętrzna gorączka. – Trzeba coś tworzyć, nie na pogawędkę przyszliśmy. Wracaj na miejsce, usiądź w pierwszym rzędzie.

Na scenę weszło dwóch osobników, ubranych jeszcze dziwniej, niż Prezydent. Jeden łysy, drugi rudy. Rudy miał twarz sutenera, zarazem groźną i obleśną, zaś łysemu chyba w ogóle brakowało twarzy, przynajmniej trudno było odróżnić przód głowy od tyłu. Usiedli po prawicy i lewicy Prezydenta. Rozłożyli akta. Na widowni pojawiła się Luiza w towarzystwie Pawła Pawłowicza. Weszli głównym wejściem, tym samym, co ja. Usiedli obok i natychmiast zajęli się sobą. Zaczęli się przekomarzać, krygować, całować i obmacywać. Paweł Pawłowicz wyczyniał cudy niewidy, w węza się przemieniał, w ptaka, w deszcz i chmurę. W którymś momencie Luiza krzyknęła, bo spostrzegła, że jest naga. Pozbierała szybko dessous i pobiegła do kąta. Wróciła płacząc.

– Nie mogłeś się ująć za mną? – zapytała z żalem. – Przecież widziałeś, co ze mną wyczynia ta kanalia.

– A co mnie do tego, kobieto?

– Narkotyzuje mnie, potwór – szepnęła podbiegając do Pawła Pawłowicza i wymierzając mu dwa siarczyste policzki.

Uderzony zbladł i skulił się w sobie. Po chwili ochłonął, spojrzał na Prezydenta, rozłożył ręce w bezradnym geście i powiesił na twarzy błazeński uśmiech. Nie wytrzymałem, poszedłem śladem Luizy. Moje trzepnięcie trochę zachwiało Pawłem Pawłowiczem.

– Nie gorączkuj się, braciszku – powściągnął mnie Prezydent. – Nikt się z tobą nie będzie pojedynkował. Bo za co? Pobaraszkowali sobie, więc się kłóć, kłóć się, bo są młodzi. Czy to twój interes, że się kłóć...

– Przecież to moja żona.

– Luiza, dobre ziółko – odezwał się Rudy i potrząsnął nad głową aktami – tu wszystko jest spisane.

– W takim razie zacznijmy wnikać w meritum sprawy – zarezonował Łysy i pytająco spojrzał na Prezydenta. – Sprawa zaczyna rozkwitać.

– Nie krępuj się – odrzekł kpiąco Prezydent. – Nawijaj.

– Luiza mnie uwiodła – szepnęła i pogłaskała łysinę. – Przyszła do biura i roztoczyła przede mną wszystkie swoje wdzięki, całą swoją urodę, swój zapach, smak, dotyk i szept. Rzuciła na mnie czar, więc musiałem ulec. Rozproszyła, pozbawiła jednomyślności...

– Mnie też uwiodła – zasepieni! Rudy i strużka śliny wyciekła mu z ust.

– Nie pluj – rzucił gniewnie Prezydent.

– Postaram się – starł ślinę ze stołu i zasłonił usta dłonią. – Mnie pozbawiła dziewictwa.

– Kłamstwo! – krzyknęła Luiza. – Potwarz. Tylko Paweł Pawłowicz mnie obmacywał.

– I o to właśnie chodzi – rzekł twardo Prezydent. – Paweł Pawłowicz gra pierwsze skrzypce w tej orkiestrze. No, Pawle Pawłowiczu, zaczynaj i mów tylko prawdę. Nie od parady ci język дано.

– Wszystko się zaczęło od tego człowieka – wystękał płaczliwie.

– Że się zaczęło od tego człowieka, to wiemy – przerwał Prezydent. – Ja się też od niego i przez niego zacząłem. Streszczaj się.

– Wedle woli – przytaknął bojaźliwie i wytarł spocone czoło. Nagle stał się stary, pomarszczony. Wyglądał jakby ktoś posypał go popiołem. – Wyprowadziłem brata Waszej Wysokości z twierdzy, darując wolność. Skąd mogłem wiedzieć, że on ma własny dom. I to jaki! Iście królewski. Ani przystąpił. Lecz nie byłbym Pawłem Pawłowiczem, gdybym się tam nie dostał. Wszedłem na pokoje, a tam Luiza, absolutne piękno. Aż zadrzałem, ogarnięty przemożnym pragnieniem. Zacząłem nawijać. Przedstawiłem naprędce sytuację jej męża. I fakt oskarżenia o morderstwo.

– Nieustannie obrzucają go błotem – rzekła z wyrzutem. – O co oskarżają go teraz?

– Mord na kochance – poinformowałem.

– To się jej dawno należało.

– Sęk w tym, że chcą was wydziedziczyć. Zabrać dom i inne dobra, jednym słowem wtrącić w nędzę.

– Co w takim razie powinnam robić? – zapytała, już zaaferowana.

– Mąż chce się z panią potajemnie spotkać, nad rzeką. Na odwagę proszę to wypić – i podałem nasz słynny eliksir.

– A może chcesz mnie otruć. Wpierw sam spróbuj.

Łyknąłem dwa hausty. Przyglądała się bacznie, z niedowiarstwem, jakby czując, że chce ją wpuścić w maliny. Ociągała się, ale wypila dwa potężne hausty. Potem usiadła w fotelu i zamknęła oczy. Narkotyk natychmiast zaczął działać.

– Czy to prawda, że chcą nas wydziedziczyć? – zaszepotała. – Nie dopuść do tego, nie zostawiaj żony w nędzy.

– Spokojnie, jestem przy tobie. Kocham cię, więc nikt cię nie skrzywdzi.

– Tak, miłość na pierwszym miejscu – przytaknęła.

– Tak posiadam Luizę. A co przeżyłem. Prezydencie, tego się nie da opisać.

– Mów dalej, ośle – rzucił gniewnie Prezydent. – Nie masz pojęcia jakiego bałaganu narobiłeś. Wszystko postawione na głowie. Dialektykę wcisnąłeś w mój artystyczny program. Zachwiałeś kosmosem, kretynie. Mów, z czegoś trzeba czerpać.

– Co przeżyłem, Prezydencie – zamamrotał Paweł Pawłowicz – tego ucho nie widziało, ani oko nie słyszało. Było światło i ból, klęska i pełnia, śmierć była i ja w śmierci. Życie było, Prezydencie, niezwykle życie, upojne jak tango, jak jazz ekstatyczne. Nasze kobiety są do niczego. Co one mogą nam ofiarować? Odrobinę zapamiętania. A Luiza obdarzyła mnie głodem Absolutu, ogniem, który nie gaśnie.

Czyli muszę zaczynać od nowa – grobowym tonem przyznał Prezydent. – Wszystko, co dotychczas stworzyłem, to jedynie garść słów.

– Tylko słowa – potwierdził Paweł Pawłowicz.

– Ty kanalio! – Prezydent rzucił w niego kałamarzem. – Oko za oko, mój drogi Pawle Pawłowiczu. Za karę uśmiercisz Luizę.

– Nigdy – zaprzeczył Paweł Pawłowicz i skulił się jeszcze bardziej.

– Zdumiewające! Dlaczego?

– Nie wiem.

– A ja wiem – cicho stwierdził Prezydent, marszcząc czoło. – Poczuleś smak inności, kanalio. Zajmę się tobą osobiście.

– Co mi tam. Widzę Luizę i to mi wystarczy.

– Milcz, chamie! – krzyknęła Luiza. – Nie wycieraj sobie mną ust. Nie miałeś mnie nigdy. – Ja swoje wiem – odrzekł, spojrzawszy na zegarek i wyszedł za kulisy.

– Znowu pokręciliśmy wszystko – odezwał się z gniewem Prezydent. – Mówimy nie o tym, co trzeba. Wina Pawła Pawłowicza jest ewidentna. Nieważne, czy Paweł Pawłowicz uwiódł Luizę, czy Luiza uwiiodła. Wina zaistniała krzyżując mi plany. Teraz kolej na ciebie, bracie. Oskarżony jesteś o morderstwo – i wskazał ręką na Beatrycze, którą wniesiono na noszach przed scenę. – Zamordowałeś moje dziecko. Za co? – krzyknął. – Pozbawiłeś życia niewinną różyczkę.

– Zgwałcił, a potem zamordował – pożałowała się Beatrycze stając na nogi. – I szyję nadgryzł, wilkołak jeden – ponownie opadła na nosze.

– Słyszysz, musisz ją wskrzesić, albo cię skrócę o głowę.

– Przecież ona żyje. Gramy komedię?

– Owszem, żyje, ale chce być szczęśliwa. A kto jej pokazał gwiazdkę na niebie, kto smakiem raju skusił?

– Za karę – ożenek! – krzyknęła Beatrycze, zerwała się z noszy i nałożyła welon. – Złączcie nas ślubem, tu, natychmiast, na tej scenie.

– Nie daj się – szepnęła Luiza. – Chcą nas wydziedziczyć.

– Beatrycze, z tej mąki chleba nie będzie – rzuciłem twardo.

– Na stryczek z nim – krzyknął Prezydent i otarł pianę z kącików ust. – Na szafot, dość tego kiczu.

Natychmiast z sufitu spłynęły dwa sznury. Beatrycze, w welonie na głowie, zeszła ze sceny i zacisnęła mi pętlę na szyi.

– Z miłości to robię – szepnęła podnosząc rąbek welonu i dyskretnie wepchnęła w me usta tabletkę. – Łatwiej będzie ci wejść w śmierć. – Z miłości to robię – powtórzyła – abyś nie musiał męczyć się ze mną i moją straszną rodziną.

– Z miłości – szeptał Luizie Paweł Pawłowicz.

– Precz! – zdołałem jeszcze krzyknąć, nim runąłem w ciemność.

Ocknąłem się na cmentarzu, z którego uciekłem. Dokładnie w tym samym miejscu, co po raz pierwszy. Opodał, pod cmentarną kaplicą, zamiast Robaka, siedział Paweł Pawłowicz i kiwał na mnie ręką.

ROZDZIAŁ VI

Czyli to mamuśka wplątała mnie w grzech, rodzona matka otworzyła przede mną ciemności. Cyrograf podpisując, diabła do łożnicy wpuściła, by uratować dziedzictwo. Wszystko straciła, wojna wszystko zabrała, resztę terror stratował. Pozostał tylko cmentarz. Zamieszkali na cmentarzu, aby grzebać, aby ich pogrzebano. Mamuśka obdarzyła mnie ontologicznym grzechem. Dziedzictwo chciała uratować. Nad stan żyć chciała. Ojciec był uczciwym idiotą, więc się z Pawłem Pawłowiczem skumała. Grzech mi w spadku zostawiła mamuśka.

Jak sobie z tym piętnem poradziłem? Musiałem je jakoś zamazać, bo mnie nie rozproszono, nie spisano na straty, w Szeolu mnie umieszczono, do zmartwychwstania przeznaczono. Budzą mnie teraz do nowego życia. Jak na to zasłużyłem? Muszę przywołać pamięć, zogniskować myśli i...

... Już jestem tym, czym byłem na świecie. Wychodzę z cmentarza... Idąc kasztanową aleją postanowiłem, że za mamuśkę będę się mścił na kobietach. Za moją poniewierkę. Ale nie zostałem Don Juanem. Zamiast cynizmu i zemsty przysła miłość. Kwitły kasztanowce, byłem młody, więc chyba też kwitłem. Musiałem, bo zakochałem się. Bez kwiatów nie ma miłości, w każdym razie tej od pierwszego wejrzenia. Zaś moja taka właśnie była. Podeszedłem do bufetu. Zobaczyłem i zadrżałem. Miłość, kryształowa i pierwsza, jak u Turgieniewa. Z siarczystym policzkiem. Za miłość – odpłata. Powiedziałem jej o tym. Uśmiechnęła się oznajmiając, iż policzek oznaczał rewanż za nazbyt długie oczekiwanie na mnie.

Zacząłem żyć miłością. Ja pisałem wiersze, Tanja sprzedawała piwo. Kochałem i pisałem wiersze. Karmiła i opierała, ja zaś całowałem jej stopy. Świat się o Tanji dowiedział. Nie wolno światu pokazywać miłości, gdyż zaraz zlecą się sępy. Kochać należy skrycie. Wetknąłem kij w mrowisko. Zjawił się brat Tanji i wywołał straszną awanturę. Nie życzył sobie, aby syn kolaborantki zaśmiecał mu rodzinę. Tanja postawiła się, padło wiele frazesów, rozstali się w gniewie. Później, niejednokrotnie dopiekali sobie do żywego. Nie wtrącałem się. Po pewnym czasie klótnie ucichły. Tanja przestała chlipać po kątach. Lecz dawna wesołość i beztroska opuściły ją. Zaczęła czernieć. Toczył ją jakiś okrutny robak.

– To ze zmartwienia – stwierdziła któregoś razu, kiedy zapytałem o przyczynę. Przytuliła się mocno. – Brat chce twojej głowy. A może należy do mafii. – Zamyśliła się, przez dłuższą chwilę milczała, by marzycielsko dokończyć: – Nie on ciebie, lecz my jego. Wspólnymi siłami. Mam już obmyślony plan. Z powodu głupiego brata nie złamię sobie życia. Co o tym sądzisz? – I nie czekając na odpowiedź, tuląc głowę do mojej piersi, stwierdziła z żarem w głosie: – Przecież nie jest grzechem bronić szczęścia. Wesprzyj mnie. Już dziesięciu ludzi ma na sumieniu – i rozplakała się drząc niczym liść osiki. Wziąłem ją na ręce i zaniósłem na łóżko. Uspokojona oparła się na łokciu i spojrzała na mnie tak, jak matka patrzy na umierające dziecko. Zagryzła wargi, przytuliła się do poduszki, by w końcu zasnąć.

Kto podsunął jej ten straszny pomysł? Nie jest zdolna do takiego czynu, stąd męczarnie rozterek. Zabić? Z tym trzeba się urodzić. A może każdy nosi w sobie ziarno zbrodni? Sprzyjająca chwila i już są kielki, już korzonki przenikają serce, już każda myśl zarażona jest wirusem zabójstwa. Poezja podziemia bardzo silnie emanuje. Nie można jej zamknąć w słowo. Biedna Tanja. Troska o mnie podsunęła jej tę straszną myśl. Jak ją z tego wyrwać? Rozmyślając zapadłem w sen.

Kiedy się obudziłem, Tanja już była na nogach. Jej złe myśli jeszcze spały, bo rysy miała rozluźnione i radosno swawolne, jak w dniu, gdy ją po raz pierwszy zobaczyłem. I podobnie jak wówczas podeszedłem do niej zniecka, mocno pocałowałem. Przechyliła głowę, pewien

czas przyglądając się wnikliwie. Antracytowa czerń jej oczu nabierała momentami złotego odcienia.

– Schowaj mnie w sobie – szepnęła ledwo dosłyszalnie. – Ukryj.

I ukryliśmy się w sobie, ja w niej, ona we mnie. Mamy czas tego świata przestał istnieć. Byliśmy w raju, w tym, z którego nas wygnano. Pozbyliśmy się robaka, który nie umiera i ognia, który nie gaśnie. Daleko byliśmy, dalej niż kiedykolwiek, gdy więc otworzyliśmy oczy, dłuższą chwilę nie mogliśmy poznać siebie.

– Dziękuję – szepnęła. – Nikt nas nie rozłączy. Nikt! – uzupełniła wesołą nutką i podniosła w górę zaciśniętą pięść. Następnie spojrzała na zegarek i zaczęła się gorączkowo ubierać.

– A może nie pójdziesz dzisiaj do pracy?

– Musimy z czegoś żyć.

Wróciła późno, jak nigdy, daleko po północy. Zamierzałem właśnie wyjść, aby sprawdzić, czy coś złego jej się nie przydarzyło. Wyglądała okropnie. Ubranie w nieładzie, twarz dzika. Rzuciła się na moje piersi i rozplakała.

– Przepraszam – szept jej zniekształcał szloch. – Upiłam się, załamam w pestkę. Z radości. Brat mnie odwiedził. Wykluczyli łobuza z gangu. Boi się. Nic nam już nie grozi. Nic, nic, mc – powtarzała z pasją, jakby chciała siebie przekonać. – Nie ma już kanalii. Będziesz pisał teraz w spokoju i staniesz się sławny. Pewna jestem. Pragnę tego. Przystaniemy biedować, pojedziemy do Paryża. Nic już nam nie grozi, nic, nic – i tak szepcząc zniknęła w łazience.

Czułem, że – z niewiadomych powodów Tanja kłamie, że coś ukrywa przede mną. Nigdy się tak nie zachowywała, nigdy się nie upijała. Czegoś się boi, może wstydzi. Zwodzi, aby mnie pocieszyć. Jak jej pomóc? Jeszcze parę dni i obłęd gotowy. A może istotnie to, co mówiła, jest prawdą? Trudno jednak było w to uwierzyć.

Tanja tymczasem, siedząc w wannie, klóciła się z kimś; nie na głos, ale szeptem. Broniła się przed czymś i nawoływała do zachowania ciszy.

– Ciszej – strofowała – sza, bo nas usłyszą. Dobrze, już dobrze, zgadzam się, tylko ciszej, zamilknij wreszcie. I nagle ogarnął ją histeryczny śmiech.

Wyciągnąłem biedaczkę z wanny, opatulilem w grubym szlafroku i położyłem do łóżka.

– Boję się – usłyszałem skargę i jednoczesną prośbę o to, bym położył się obok niej. Niebawem oddech Tanji wyrównał się. Usnęła szybko. Ja dopiero nad ranem. Spałem twardo, nie czując nawet, kiedy wysunęła się spod mojego ramienia. Na stoliku leżała kartka. Całowała i prosiła, abym się nie martwił. Taka scena już się więcej nie powtórzy. W post scriptum zawiadamiała, że Paweł Pawłowicz był wczoraj w gospodzie i dopytywał się o mnie.

– Nowy kłopot – zgrzytnąłem zębami, wypilem kawę i zasiadłem do pisania. Jednak pisanie od paru dni nie kleiło się. Skrzydła opadły. A jeśli się nie lata, pisanie nadaremne. Gdzie tam – nawet nie szedłem, czołgałem się. I w takim mniej więcej stanie przyszło ponownie zetknąć się z Pawłem Pawłowiczem.

– Widzę twoją niechęć – rzekł cicho. – Ale musiałem przyjść, by powiadomić cię o zejściu twojej matki. Nie życzyła sobie twojej obecności na pogrzebie.

– Luiza moją matką? – wymusiłem uśmiech. – Twoją kochanką była, owszem. Znam już prawdę. Moją matkę rozstrzelano za kolaborację dawno, dawno temu.

– Pamiętasz Luizę? – Obłęd, pamiętam – enty raz przypominając sobie tamte wydarzenia. – Dobrzy ludzie donieśli, że jej syn na pogrzebie zwariował i zamieszkał na cmentarzu. Maligna. Nie ma innego wytłumaczenia.

– Uważasz więc, że jestem zjawą? – zapytał i podszedł bliżej. – W żadnym razie. Nie wierzysz, więc dotknij. Dotknij i uwierz.

– Akurat w twoje istnienie nigdy nie wątpiłem. Pawle Pawłowiczu. Wiesz co się w tej chwili przypominało? Opętany z Gedary, ten, z którego Jezus wyrzucił legion demonów i wpędził ich w świnie. Ty także wyszedłeś z mojego obłędu. Zapomniałem tylko przemienić was w kamienie. Teraz za późno, nieoceniony Pawle Pawłowiczu.

– Synem twojego obłądu? Zgoda. Jestem taki, jak ten świat – rzucił z uśmiechem. – W swojej cudowności ten świat jest niezwykle potworny. Usta mówią o miłości, gdy ręce zaciskają się na gardle. Ręce głaszczą osierocone dzieci, gdy usta jednocześnie wydają wyroki śmierci. Kościół głosi ubóstwo, wyciągając ręce po pieniądze. Przyjrzyj się kto rządzi światem. Obłąd.

– Nic nowego nie mówisz. Po co więc do mnie przyszedłeś? Czy mało tego, czym obracasz. Masz wszak po dziurki w nosie kramarzy, biznesmenów i smutnych dam zalepiających swe zmarszczki złotymi plombami, oraz fagasów przy korycie. Na cóż ci jeszcze moje towarzystwo?

– Śmieci – wybuchnął nagle Paweł Pawłowicz. – Śmieciami zajmują się śmieciarze. Ja lubię tych, którzy nie są tacy, jak ten świat. Dopóty, dopóki tacy istnieją, ten padół trzyma się w szwach.

– Powinieneś trzymać się z daleka od takich ludzi. Niech sobie żyją w spokoju, niechaj tworzą i kochają.

– Duszę się wśród tego motłochu. Bełkot, nieustanny bełkot o kontaktach, aferach, mordach i dziwkach. A nadto ów niby muzyczny hałas i demokracja. Posiedzę chwileczkę i pójdę sobie. Odetchnę trochę innością, zrelaksuję się. Jeśli pozwolisz odwiedzać siebie, odwiedzę cię.

– A czymże ty, zagubiony diable, możesz się odwdzięczyć?

– Jak to czym? Mogę na przykład wydać książkę, którą piszesz. Takiej książki nie wydadzą ci teraz. Wiem o niej więcej, niżli sądzisz. Wydawcy boją się tego rodzaju rzeczy. Jak ognia. Mam układy.

– Mierny z ciebie kusiciel. Ja sensu szukam, wykładni, tajemnicy – nie wydawcy.

– Gadanie. Sens swoją drogą, a druk swoją. Każdy chce uznania. Nawet ci, którzy uciekali na pustynię. Czy nie wstyd, na przykład, że utrzymuje cię kobieta.

– Bezczelność.

– Mówię to, aby otworzyć ci oczy. Chcę, abyś urządził się na tym świecie. Bez mojej pomocy do śmierci pozostaniesz szarą myszką. Twój tomik erotyków wydano też za moim poręczeniem. Talent to nie wszystko. Ja natomiast nawet talent mogę wyostrzyć i pobudzić. Bądź odważny, zdecyduj się. Otrzymasz tak wiele za tak niewiele. Jedna lub dwie wizyty w tygodniu. Jeśli chcesz, to zostanę twoim błaznem. Tylko królowie ich mieli. Zdecyduj.

– Pojmij wreszcie, jesteś obłądem. Chcesz, abym znowu obudził się na cmentarzu?

– Wszystko rozumiem, nie czuję żalu – odrzekł ze smutkiem i zagryzł wargi, może z tajonej złości. Któż to wie? – Jednak odchodzę ze łzami w oczach. Pamiętaj, na każde skinienie, jestem do twoich usług. Gdy dotknie cię nieszczęście, wiesz gdzie mnie szukać. Zresztą oto numer telefonu – i wręczył wizytówkę. – A kłopot masz. Zapomniałem o tym wspomnieć wcześniej.

– Odejdź, tracę cierpliwość.

– Na cmentarzu widziałem zwłoki brata Tanji. Leżał na grobie z lufą w ustach. Wygląda na samobójstwo. Ale przecież wszystko można sfingować.

– W co ty mnie wrabiasz?

– Każdy wie, że on cię nie lubił, obsesyjnie. I nagle nie żyje.

– Słyszałem, że wykluczyli go z mafii.

– Bujda. Przedwczoraj awansował na pierwszego mafiozę.

– To dlatego Tanja była taka roztrzęsiona. Ale, chwała Bogu, już po wszystkim.

– Jeszcze się okaże – odrzekł Paweł Pawłowicz. – Tanję na pewno zamkną. Ciebie też. Obłąd, to obłąd. To jak, odrzucasz pomoc?

– Daj spokój. Dobrze znam twoją pomoc. Chamstwem pachnie od ciebie na milę.

– Dobrze, pomogę ci – stwierdził nagle, nie przyjmując wypowiedzi do wiadomości. – Ze względu na Tanję. Mądra dziewczyna. Zrobię to, abyś czuł się dłużny. Abyś pamiętał, że Paweł Pawłowicz uwolnił cię od więzienia. A ty, jak i twoja mamuska jesteście cudownymi

ziólkami. Kogóż twoja mamuśka nie uwiodła. Ale tylko mnie się za to dostało. Owszem, kochałem ją, tylko ja pragnąłem, aby stała się nieśmiertelna. A dano nam jedynie mamy czas. Zniszczę ten świat, może wtedy wrócę do łask. Zniszczę!

– Obłąd bez końca, błagam, nie rób mc dla mnie. Sam odkupię winy.

– Jednak uratuję cię od więzienia – uciął twardo. – Być może dlatego, że jesteś nieżyczliwy. Nie zapomnisz o moim czynie. W ten sposób i o mnie. Idę, a ty kończ arcydzieło. Wiem, że utknąłeś. Czujesz pustkę, ale zaradzę temu, już cię ubogacam. Zatem do zobaczenia.

Odetchnąłem z ulgą. Wstałem zza biurka i podszedłem do okna. Słonko akurat wyszło zza chmur. Tętniący życiem świat podpłynął znowu do serca. Wróciłem i zacząłem pisać, jak nigdy dotychczas. „Stary człowiek umarł. A może to działa Paweł Pawłowicz” – przeniknęła myśl, lecz nie odłożyłem pióra. O szóstej trzydziści poemat był ukończony.

ROZDZIAŁ VII

Po pogrzebie brata Tanja w dostrzegalny sposób zaczęła mnie unikać. Coraz później wracała do domu, a wychodziła, kiedy jeszcze spałem. Zanedbywany dom tonął w rosnącym bałaganie. Zachowywała się tak, jakbym me istniał. Obiady musiałem jadać w gospodzie. Dzięki awansowi na kierowniczkę Tanja nie pracowała za ladą. Kilkakrotnie prosiłem o rozmowę. Niezmiennie odpowiadano mi, że szefowa poszła do biura.

Nie chciałem stracić Tanji, kochałem ją. Cóż, przyszło zagryzać wargi i czekać, łudząc się, że czas zaleczy rany. Jednak nie zaleczał. Czulem się podle, a poczułem się jeszcze gorzej, gdy wydawnictwo odesłało maszynopis z niedwuznaczną drwiną. Czy mogłem nie pomyśleć o Pawle Pawłowiczu? Jego robota, wszędzie ma swoich ludzi. Lecz kto na tym świecie poda życzliwą rękę? Kto, oprócz właśnie Pawła Pawłowicza. Tylko on jest władny odwrócić nieprzychylność. Coś wzbierało w gardle. I zacząłem wyć. Niczym pies przeczuwający śmierć. Czy ja już nie przeżyłem swojego marnego czasu? Wszak harowałem na cmentarzu, kopałem groby, zakładano mi pętlę na szyję. Czy nie dość tego. Wszystko się rwało, nadto Tanję toczył jakiś robak. Czulem przez skórę. Po raz setny zapewniana o moim uczuciu raczyła się odezwać.

– Nie mów mi o miłości. Przepadła. I jeszcze śmierć brata. Żyłby, gdyby nie ty. Cuchniesz jego krwią. I ja cuchnę. Ohyda!

– Uspokój się.

– Nie przeczę, wymodliłam mu śmierć. I przyszła, zabierając, prócz brata, miłość. Puste me serce. Wszyscyśmy teraz trupami: on, ty, ja.

– Ciężko, wiem, ale pamiętaj, że żyjesz wśród żywych.

– Wskrześ brata – rzuciła nie bez gniewu. – Wskrześ, a znowu zacznę kochać. Przywróc mu życie, a wszystko wróci – dodała na poły błagalnie, patrząc w oczy. Dlaczego tak się stało? Miał być Paryż i splendor, jest dzuma i piekło. Dlaczego... nie można cofnąć czasu? Dlaczego dano nam marność. Nawet płakać nie mogę.

– Nadal kocham cię Tanju.

– Nie kochaj. Nie męcz się – i nagle roześmiała się drwiąco, cynicznie. Oczy zajaśniały. Wabiła do siebie, wprost ciągnęła, zapraszała.

Nie oparłem się pokusie. Ująłem jej twarz w dłonie. Odepchnęła brutalnie, z siłą.

– Nie dla ciebie piękno. Nie ty zabiłeś. Chociaż szkoda, że to nie ty leżysz na cmentarzu – rzuciła zjadliwie. – Właśnie ciebie powinny gryźć robaki.

– Wszystko minie, Tanju.

– Nie pocieszaj, jestem stracona, zabiłam brata.

– Ty? Dobrze sobie!

– Tak, ja, tymi oto delikatnymi rączkami.

– Nie wierzę.

– Wpadł do gospody chwając się, że jutro cię sprzątną. Spanikowałam. Przecież z jego rąk nikt żywy nie wychodzi. Nie reagował na prośby. Przysięgałam nawet, że cię przepędzę. Nie chciał słuchać, tak cię znienawidził za moją miłość. On nie potrafi kochać. Ja kocham ciebie, a jego nikt, nawet żona. Byliśmy sam na sam, przyszedł o zmroku. Lubił noc, tylko wtedy pracował. Zaczęły mną targać sprzeczne uczucia. W końcu postanowiłam go ogłuszyć, oblać benzyną i podpalić. Miał spłonąć razem z gospodą. Uderzyłam butelką w tył głowy, natychmiast osunął się z krzesła. A mnie serce podpłynęło do gardła, zemdlałam. Gdy wróciła przytomność, zobaczyłam Pawła Pawłowicza; cucił mnie.

– Siadaj, pogadamy – rzekł, kiedy doszłam do siebie.

– Jak tu wszedłeś, drzwi były przecież zamknięte – wyrzuciłam wreszcie swoją pierwszą myśl.

– Drzwi są zawsze otwarte – uśmiechnął się. – Po to są drzwi.

– Wezwij pogotowie! – szepnęłam, uświadamiając sobie sytuację.

– Nie warto.

– Nie żyje? I co teraz?

– Za morderstwo – dożywocie – znowu się uśmiechnął. – Ale jeśli będziesz posłuszna – zatuszujemy.

– Czego żadasz? – Będę przychodził do ciebie, kiedy nadejdzie ochota, o każdej porze dnia i nocy.

– A jeśli odmówię? – Nie odmówisz. Utracisz wszystko. Nawet swojego poetę.

– Jak widzisz, nie miałam wyjścia. Co prawda uderzyłam go w twarz, ale cóż to dało. Przyciągnął do siebie i zgwałcił. Zanieśliśmy brata na cmentarz, ułożyliśmy na grobie Luizy i wcisnęliśmy lufę pistoletu w usta. Nacisnęłam spust. Od tamtej pory Paweł Pawłowicz jest ze mną, wciąż zastaję go w łóżku. Może wchodzi oknem, lub przenika ścianę? Początkowo czułam odrazę, nawet wymiotowałam. Przemogłam się. Którejś nocy stwierdził, że kto naprawdę kocha, z każdym dniem pięknieje. I to się sprawdza. Sam przyznasz.

– Zawsze byłaś piękna. Zakochałem się przecież w tobie od pierwszego wejrzenia.

– Wiem, że byłam ładna – uśmiechnęła się. – Lecz dopiero teraz jestem piękna. Wrócę chyba do teatru. Z czwartego roku kiedyś mnie wylali. Paweł Pawłowicz obiecał pomoc, on wszystko może.

– Z nami koniec?

– A czy to moja wina, że tak się stało? – rzuciła ze złością. –Wszystko przez ciebie. Przez ciebie zabiłam brata. Nie kwękaj. Paweł Pawłowicz nawet cię lubi. Nie jesteś święty.

– Maligna. Nie daj się wciągnąć w obłąd.

– Paweł Pawłowicz jest równie rzeczywisty jak ty. W dodatku dżentelmen. Jeśli pójdzie tak dalej, urodzę mu syna. Żebyś widział jego minę, kiedy mu o tym powiedziałam. Był wniebowzięty.

– Tanju, opamiętaj się! Paweł Pawłowicz jest autentycznym diabłem. Jeszcze nie pojęłaś?

–Diabeł? Paweł Pawłowicz uprzedził, że możesz bredzić. Tylko poetom diabeł nieustannie depcze po piętach. Za jego towarzystwem tęskni. A Paweł Pawłowicz ma do ciebie zwykły sentyment. Mówił mi o tym. Wiesz dlaczego zaimponowałaś mu? Podobno z Bogiem rozmawiasz. Czy ubyłoby cię, gdyby Paweł Pawłowicz bywał w naszym domu? Pomóż mi. Sam chciałeś, abym skończyła studia.

– Tanju, opamiętaj się. On jest wcieleniem zła.

– Zło też może być piękne. Spójrz na mnie, czy jestem odrażająca? To jak, zgoda?

– Nigdy – zaprzeczyłem. – Nie chcę żadnych konszachtów z Pawłem Pawłowiczem.

– Więc nie jęcz i nie wyciągaj rąk. Sprzedajesz mnie. Za to, że zabiłam brata, który czytał na twoje życie. Taka odplata.

– Kocham cię, Tanju, dlatego...

– On mnie kocha – przerwała w pół słowa – a Paweł Pawłowicz sypia ze mną. I on to miłością nazywa. Z miłości to robisz, prawda? Zachowujesz się jak sutener. Stręczyciel, nie poeta.

– Chcę cię ratować, zrozum, to nie tak, płaczesz wszystko, posłuchaj.

– Co ty jeszcze możesz mi powiedzieć. Z ciebie taki poeta, jak z raka ogier. A ja, głupia, wokół niego niczym pszczołka latałam, ręce do krwi zdzieralam. I proszę. Gdy pętla na szyi się zaciska, odmawia pomocy – i roześmiała się drwiąco.

Jeszcze jedną odmianę swojego piękna pokazała, aż dreszcz przeszedł po plecach; jeszcze mocniej wciągnęła w siebie. Czy mogłem się odwrócić? Musiałem pomóc, wyrwać biedaczkę z rąk Pawła Pawłowicza. Straszna myśl we mnie zapłonęła, okrutna, najstraszliwsza z myśli. Postanowiłem podnieść rękę na Pawła Pawłowicza, zabić samego diabła, jak Tanja brata.

– Dobrze, Tanju – szepnąłem, przejęty już nową rolą. – Niechaj przychodzi. W końcu niewiele w tym zdrożnego, prawda?

– Wiedziałam, że się zgodzisz – krzyknęła i z radością objęła mnie za szyję. – Znów będziemy mężem i żoną. Nie masz pojęcia, jak się cieszę. Może już nie będę musiała sypiać z Pawłem Pawłowiczem – szepnęła po chwili. – Dziękuję ci. Wyjedziemy stąd. Mam powyżej uszu prowincji. Jak ludzie zaczniemy żyć, dość wegetacji.

– Paweł Pawłowicz nam pomoże – podpowiedziałem domyślnie, kryjąc sarkazm.

– Oczywiście, będzie zobowiązany. To już członek rodziny, mój impresario, a twój literacki agent. On zna się na rzeczy. Po paru dniach przywykniesz, a po miesiącu będziesz go kochał, jak ja. Jak on się ucieszy z twojej decyzji. Może pobiegnę po niego?

– A wiesz dokąd?

– Tak, na cmentarz – zatarła ręce niecierpliwie – w kostnicy, dokładniej pod kostnicą. Istny pałac.

– Ze służbą pewnie?

– Bogato tam jak u szejka, ale służby nie widziałam. Zadzwoń.

Jednak nie trzeba było telefonować. Paweł Pawłowicz w tym momencie zapukał do drzwi, jakby czekając na przyzwolenie. Wszedł rozanielony, kwitnący i dziarski.

– Pozwól, że cię uściskam. Ogromnie się cieszę, że wreszcie zmadrzałeś – ucałował i przekrzywiając głowę przyjrzał się badawczo. – Jestem wręcz zachwycony. Pomyśleć, poeta w mojej rodzinie. Tego jeszcze nie było. Stało się, dopiąłem swego. A teraz w świat. Wyjeżdżamy do stolicy – zatarł ręce i spojrzał na Tanję. – Jego książka jest już w druku, a ty masz zaliczony semestr. Cieszycie się?

– Daruj sobie – mimo woli rzuciłem przez zaciśnięte zęby.

– Nie słuchaj – rzuciła szybko Tanja, chwytając Pawła Pawłowicza za rękę. – Wybacz przekornemu poecie. Musisz do tego przywyknąć. On już inny nie będzie.

– Nie razi mnie to – mrugnął filuternie. – Rozumiemy się chyba bez słów. Tymczasem bywajcie, mam jeszcze do załatwienia parę spraw. Nikt was nie będzie niepokoił. Już się tu żaden Rasputin nie pokaże. A to na drobne wydatki – i rzucił na stół plik banknotów. – Ubierz go, niech wygląda na burzyciela, a ty masz zaćmić księżną Monaco – uśmiechnął się i... znikł.

ROZDZIAŁ VIII

Najstraszniejsza z moich myśli już się zakorzeniła we mnie na dobre. Rdza gryzła już żelazo. Zniszczyć zło, przegnać ciemne moce z tego świata. Diabeł przecież bmdzi podstawę naszego życia, naszą miłość. Wszędzie wciska swoje lichwiarskie trzy grosze. Szantażuje, grozi i zwodzi. Zwiódł Tanję. Czyli zabić, jak najszybciej, nie wdając się w subtelności, nie zamydlając sobie oczu etyką. Uwolnić Tanję z sidła szatańskich. Wszak nadal jest jego kochanką. Koniecznie postawić kropkę nad i. Rozprawię się z Pawłem Pawłowiczem, zastrzelę jak psa. Już pokątnie kupiłem parabellum. Niezawodny pistolet. Noszę go nieustannie przy sobie. Już nie nękają skrupuły. Nigdy nie przypuszczałem, że można cieszyć się na myśl o morderstwie. Czuję dreszcz myśliwego, który podchodzi zwierzynę. Jakże pragnę, aby to już się stało. Zamordować, zrzucić ciężar z serca. Jak najdalej od obłędu tego świata.

Czekałem i nie mogłem doczekać się stosownej chwili. Nie nadchodziła. Paweł Pawłowicz całymi dniami bywał poza domem, wracał późnym wieczorem, rozpromieniony, z dzikimi i rozbieganymi oczami. Czymś się dręczył, z czymś wojował, z czymś nie mógł sobie poradzić. Każdego wieczoru tańczył z Tanją lambadę. Aż dom się trząsał od dźwiękowego chamstwa. Nie wytrzymałem, wymykałem się z domu i szedłem nad rzekę. Wracając zastawałem ich na kanapie z drinkiem przy ustach, sytych już muzyki i siebie. Nalewałem sobie wówczas Martela, wciskałem się jak om w fotel i po dwóch trzech łykach zaczynałem wariować. Nie mogłem siedzieć spokojnie obok Pawła Pawłowicza, chwytalem więc Tanję i zaczynałem swój taniec. Tańczyliśmy do zapamiętania i utraty tchu, a kiedy dom robił się za ciasny, rozwieraliśmy drzwi, rytm wynosił nas na zewnątrz, unosił w górę, wirowaliśmy nad wierzchołkami drzew, uśmiechnięci i szczęśliwi niezmiernym szczęściem. Dopijałem koniak i otwierałem oczy. Tanji zazwyczaj już nie było, zaś Paweł Pawłowicz, jak zwykle, pochrapywał przez sen. Budziłem go i proponowałem spacer. Odmawiał, jakby przeczuwając moje zamiary. Trochę podejrzliwie się przyglądał, z każdej strony. Ze trzy razy obchodził fotel. I tym razem odmówił, ale zaproponował grę w szachy.

– Chyba zaczynam ci ufać – rzekł, gdy zasiedliśmy nad szachownicą. Podnosząc oczy spotkałem jego rozgorączkowany wzrok. – I dlatego chciałbym podzielić się z tobą pewnymi myślami.

– Śmiało – zachęciłem – nie kępuj się.

– Sprawa delikatna, wręcz subtelna. Prawdę mówiąc i boję się i wstydzę.

– Przecież wiesz, że dzielę się z tobą wszystkim. Co moje to twoje.

– Tak, tak, rzeczywiście – szepnął nerwowo. – Zmieniłeś się nie do poznania. Zaskakujesz mnie. Jesteś poetą, twoja skala jest rozległa, wprost nieskończona, dlatego chciałbym cię mieć zawsze przy sobie. Chcę, abys został moim doradcą. Wyniosę cię na szczyty.

– By efektowniej strącić.

– Nigdy – zaprzeczył skwapliwie. – Nie mów tak. Spróbuj zaufać. Wiesz co zamierzam? Chcę wypowiedzieć posłuszeństwo Prezydentowi. Pamiętasz, z jego córką przecież...

– Oczywiście, że pamiętam. I Beatrycze, i Łysego. Całą menażerię.

– Zatem i tobie zaszli za skórę.

– Do rzeczy. Jakie korzyści z tego wynikną?

– Nadzwyczajne – zapalił się Paweł Pawłowicz i oparł twarz na dłoni, porzucając szachy.

– Przede wszystkim będziemy niezależni. Wypowiadając posłuszeństwo zmieszamy na jakiś czas Prezydentowi szyki. Nie jest w stanie mnie zniszczyć. Mam tę przewagę, że ten świat jest moją domeną, poruszam się po nim bez przeszkód, jak po własnym domu. A on zmuszony będzie budować wszystko niemal od zera. Po pewnym czasie pokonałby mnie, to oczywiste, gdyż nazbyt jestem dla niego czytelny. Na wylot przejrzał moje sztuczki. Stąd twoja nieodzowność. Stanowisz dla Prezydenta nieprzeniknioną zagadkę. Bez poety mój plan

ma mierne szansę. Trzeba tu poetyckiej głębi ducha, mało przewidywalnych racjonalnie meandrów. Musisz stworzyć świetlistą wizję. Powinno to być coś nowatorskiego, futurystycznego, słowem coś, do czego nie potrafiłby dojść przez dedukcję czy indukcję zwykły śmiertelnik. Zabierając się do pracy wnikliwie przeczytaj Koheleta. Następnie obalaj przedstawione tam postulaty oraz sugestie, punkt po punkcie. I nie spisuj tego, pamiętaj, zakarbuć sobie raz na zawsze. Nawet ja nie mogę znać planu. Będziesz mi tylko wydawał niezbędne polecenia. Tym razem musi się udać.

– To już próbowałeś?

– Oczywiście! Od początku próbuję usamodzielnąć się i zmienić barwę zastanych czasów. Nadzieję biednych i chciwość bogatych musimy zastąpić innymi afektami. Bogacz nigdy nie zostanie żebrakiem, ani odwrotnie. Równość też zdała się psu na budę. Degrengolada wyszła totalna. Wszystko przeinaczają. Ja proponuję raj na ziemi, a człowiek od razu urządza szlachtuz. Ośmiesza mnie i upadła w oczach Prezydenta. Nie trafiam na odpowiednich ludzi, chociaż na początku dobrze się zapowiadają.

– O kim mówisz?

– Nie udawaj głupiego – odparł z przekąsem. – Wiesz dokładnie o kim. Nie wyszło z Tutenchamonem, nie wyszło z Hitlerem i Stalinem, nie mówiąc już o mniejszych rybkach. Od twojego urodzenia zabiegam o ciebie. Żebyś wiedział ile nerwów przez to straciłem. Jednak w końcu dogadaliśmy się, jesteście wreszcie razem Z tobą musi się udać. Zatem do dzieła!

– Hola, hola, nie powiedziałem: tak.

– Nie możesz odmówić, jeśli prawdziwy z siebie poeta. Nie pomnażaj nędzy. Uzdrów ten świat. Będę u ciebie chłopcem na posyłki, specjalistą od czarnej roboty, czyścicielem kloacznym, można by rzec.

– Grubsza gotówka jest? – udąłem żywe zainteresowanie. – Bez pieniędzy nie ma rewolucji.

– Spokojna głowa. Zawsze się znajdują. Przyszłą sławę każdy bogacz opłaci. Głupi zawsze chce być sławnym. Bojowników też nie brakuje, czekają tylko na wezwanie. Ale tu nie o rewoltę chodzi, lecz o doktrynę, której nie można łatwo spauperyzować.

– Trudne zadanie.

– Powiedzieć „trudne” to mało. Karkołomne. Dlatego stawiam na poetów. Oni czerpią ze źródła. Do łatwiejszych zadań wystarczają prawnicy czy filozofowie. Ale to przecież chwasty.

– Mówisz o raju na ziemi – udawałem, że powoli się przekonuję. – Dostyc to mgliste.

– O to właśnie chodzi. Odwrócić człowieka o 180°, przenieć zupełnie. Teraz tworzy piekło, czy mu się to podoba, czy nie. Nikt nie czyni dobra, nawet gdy dobro czyni. Nikt. Musisz w człowieku obudzić uspięne, odebrać piekło, które kocha, o które nie tylko podświadomie się modli.

– Chyba zbyt wiele oczekujesz po ludziach.

– Czy sięgałbym po niemożliwe. Czy ktoś mojego pokroju uwierzyłby, że gruszki urosną na wierzbie? Wiesz doskonale przecież kim jestem. Prezydent wprowadził człowieka w piekło, ja mu wymawiam posłuszeństwo.

– Nie wyręczaj Kościoła.

– Milcz o Kościele. Smacznie śpi, ssie landrynki i dość pokaźną cegłę dokłada do apokalipsy.

– Widzę, że pragniesz powrotu w stronę Boga.

– To niemożliwe, ja się nie zmienię, mnie nie można zmienić, tylko rozproszyć.

– Wyłóż jaśniej – nadal udawałem rozterkę zagubionego.

– Dość stwierdzić, że taka moja natura. Różnimy się wizją świata z Prezydentem. Diametralnie. Co on zepsuje, ja próbuję nareperować. Ale nie myśl, że kogokolwiek do czegoś przymuszam. Odślaniam tylko ponętne walory. Ale my dwaj wreszcie to zmienimy.

Zakochałem się w człowieku. Kochałem Luizę, Kocham Tanję i Ciebie. Doczekam się ludzkiego potomstwa – wstał i zaczął nerwowo chodzić z kąta w kąt, strzelając do tego palcami. Twarz nabrała ziemistego odcienia, zaś oczy stały się matowe, zimne i złe.

Dawno już pojąłem, że wszystko, co mówił, było ogromnym blefem. Następny rodzaj obłądu zwieńczonego chorymi marzeniami. Jeszcze jedno wygnanie. Czy nie dosyć tych wygnań? Nie nabrałem się na plewy, uporczywie wracając do swojej strasznej myśli. Lecz należało zachować pozory.

– W tych warunkach trudno będzie się skupić. Oczekuję jakiegoś ustronnego lokum. Skoro każdy szczegół muszę doprowadzić do perfekcji, a zapisywać nie wolno.

– Mam dla Ciebie pustelnię. Chcesz obejrzeć? – odparł po chwili milczenia.

– Prowadź, Pawle Pawłowiczu, druhu mój.

Wymacałem w kieszeni parabellum, oddało dłoni przyjemny chłód. Wziąłem też na wszelki wypadek latarkę. Dawno minęła północ. Minęliśmy puste miasto. Za rogatkami otwierał się cmentarz. Ten sam, na którym ocknąłem się kiedyś. Paweł Pawłowicz zrećnie usunął kłódkę grabarskiego magazynku, następnie podniósł klapę wiodącą do piwnicy. Zeszliśmy po drabinie w dół. Zrobiłem parę kroków do przodu i nagle zapaliło się światło. Znaleźliśmy się w pokoju o jakim marzyłem; urządony z prostotą, tonący w zieleni.

– Odpowiada ci? Nikt nie będzie przeszkadzał. Gwarantuję.

– A klucze?

– Naturalnie, proszę – podał dwa. – Większy od klapy, mniejszy od komnaty.

Schowałem do kieszeni i niespiesznie wyciągnąłem parabellum. W jego spojrzeniu rozczarowanie mieszało się ze wściekłością.

– Wszystko więc na nic – wydusił zgaszony. – Tyle lat daremnej pracy. Zawiodłeś. Zaufałem, a ty zdradziłeś. Replika Judasza. Nie potrafiłem de rozgryźć do końca – Ale czy musisz zabijać?

Chciałem odpowiedzieć, lecz serce podszeptało, abym nie dyskutował, bo zwiedzie, omami jedną z wielu swoich sztuczek. Zresztą odwaga już ze mnie uchodziła. Nacisnąłem spust. Cofnął się o krok jakby do końca nie dowierzając temu, co nastąpiło, osunął się na dywan. Z ust zaczęła wyciekać strużka ciemnej krwi.

– Nie żyje – szepnąłem, ledwo opanowując drżenie ciała. – Zabiłem zło.

Z trudem przywlokłem się do domu. Coś nieznośnie paliło w piersiach. Wypiłem pół butelki koniaku. Szyjka uderzała o zęby i dzwoniła. Usiadłem w fotelu, by natychmiast się zerwać. Krążąc bez celu po mieszkaniu w końcu dotarłem do Tanji. Obudziłem ją.

– Zabiłem sukinsyna. Paweł Pawłowicz nie żyje. Jesteś uratowana.

– Chodź – wyszeptała sennym głosem. – Nie musisz wymyślać takich historii.

Przytuliłem się do Tanji nie mając sił, ani ochoty na przekonywanie. Niebawem drżenie ustąpiło. Być może za przyczyną ciepłego uścisku Tanji. Lub alkoholu. Albo jednego i drugiego jednocześnie. W każdym razie zapadłem w błogosławiony sen.

ROZDZIAŁ IX

Obudziłem się o świcie, nadal dręczył niepokój. Popeniłem przecież morderstwo. Zabiłem diabła, największego wroga człowieka. Czyn iście mityczny. Jednak czy miałem prawo? Czy Judasz musiał zdradzić Jezusa? Kiedy Tanja otworzyła oczy ze szczegółami opisałem wydarzenie. Nadal nie wierzyła. Dopiero kiedy Paweł Pawłowicz nie zjawił się na śniadaniu ani na przedobiedniej kawie, coś ją tknęło.

– Mówisz prawdę?

– Podobnych słów nie rzuca się na wiatr.

– Tak, wiem – zmarszczyła brwi i zagryzła wargi. Walczyła ze sobą, zmagając się z uczuciami. – Trudno uwierzyć, taki czyn nie pasuje do ciebie, nie przylega, jesteś poetą...

– Żywym. Żywym poetą, Tanju, nie twoim wyobrażeniem. Targnąłem się na zło. Musiałem też stanąć w twojej obronie.

– Jakie tam zło – rzuciła gniewnie. – Przecież on cię kochał jak brata, jak ojciec się tobą opiekował. A ty podniosłeś rękę.

– Tanju, byłaś kochanką diabła. Czy nie pojmujesz, że on cię przemienił, zwiódł?

– Kochał! Świat chciał dla mnie zmienić.

– Dla ciebie?

– Z miłości do mnie. Nie, nie mogę uwierzyć, że Paweł Pawłowicz nie żyje. Choć – szepnęła po chwili – kto raz posmakował prawdziwego piekła, jest zdolny do wszystkiego. A ty tam byłeś. Niech się przekonam naocznie.

I poszliśmy. Jak po rozżarzonych węglach szedłem. Nikogo i niczego nie widząc. Ledwo słyszalne trwożliwe głosy prześladowały zewsząd. Drwiący śmiech wibrował w uszach. Wydawało się, że cały świat wie już o moim czynie. Wie i potępia. Przecierałem co chwila oczy, aby chociaż przez moment widzieć umykające piękno świata. Po wejściu do rezydencji mamidła odstąpiły. Ku mojemu zdumieniu okazało się, że Paweł Pawłowicz jeszcze żyje. Brodę i usta miał umazane zaschlą krwią, a twarz opalizowała metalicznym błękitem. Tanja uklękła przy nim.

– Wezwać lekarza? – zapytała i łzy popłynęły po jej policzkach.

– Niczego nie trzeba – szepnął z wysiłkiem. – Teraz to już bez znaczenia.

– Nie zostawiaj mnie, błagam. Urodzę ci syna.

– Otruj go – wskazał na mnie wzrokiem – Niech się trochę pomęczy, niech smakuje odrobinę tego, co ja liżę. Poeta – dodał z nienawiścią.

– Otruję – przytaknęła skwapliwie. – Zastrzelę, tylko żyj.

– Poeta – parsknął słabo, jakby nie słysząc słów Tanji. – Komisarz Boży. Tylu was wykończyłem. I Villona, i Van Gogha, Hölderlina, Gauguina. A ciebie nie zdążyłem. Nie wziąłem pod uwagę tego, żeś i grabarz, i włóczęga tknięty obłędem. Nie uwzględniłem specyfiki marnego czasu.

– Nie odchodź, żyj – nieustannie szeptała Tanja. – Stwórz raj na ziemi.

– Przyrzeknij, że go otrujesz.

– Przyrzekam. – Tanju – zaprotestowałem – opamiętaj się. Nie przyrzekaj diabłu.

– Nienawidzę – rzuciła głucho, patrząc w bok. – Złamałeś mi życie. Czy przy twiom boku zostanę gwiazdą? Kuchtą przy tobie będę. Żyj, kochany – i przytuliła do ust dłoń Pawła Pawłowicza.

– Kończ farsę. Schodź z tego świata, nie masz tu już nic do roboty.

– Bandyto – krzyknęła Tanja do mnie. – On jest dla mnie wszystkim, nie ty, nędzo.

– Nie płacz, będę żył – i odszedł.

– Skonała bestia wreszcie – szepnąłem z niewysłowioną ulgą.

Niestety, Tanja zemdląła. Skropiłem twarz zimną wodą, ocuciłem i wyprowadziłem na zewnątrz. Dopiero w domu doszła do siebie, wpadając w nowy szloch. Nie przeszkadzałem jej, nie tłumaczyłem niczego. Niech płacze. Ja też czułem się okropnie. Świat poezji już nie stał przede mną otworem. Coś nieodwracalnie zasklepiło się. A przecież zabiłem zło, część tego, co chce zniszczyć Bóg. Mimo to sercem targała wątpliwość. Przekreślić wszystko, zamazać. Gdybym mógł zniknąć, choć na moment. Sięgnąłem po koniak. Lecz alkohol wzmógł jeszcze siłę wyrzutów.

– Idę pogrzebać Pawła Pawłowicza – powiedziałem, aby wydać z siebie głos i opuściłem dom

Co zrobić? Jak dalej żyć? Ciężko jest nosić mord. Muszę odpokutować, inaczej zwariuję. A może Paweł Pawłowicz celowo dał się zamordować, abym ponownie wpadł w obłąd? Nie potrafiąc skusić dobrami tego świata podsunął ostateczność? Dałem się zwieść? Jeśli nie uwolnię się od poczucia winy, osiągnie swój cel. Bóg, być może, każdy grzech odpuści, jeśli się o to poprosi. Jednak czy ja sam sobie wybaczę? Czy jeszcze mogę być człowiekiem, który ma prawo do natchnienia. Prawo do Boga.

Sam nie wiem kiedy i dlaczego poszedłem na policję. Wypowiadałem się przed dyżurnym oficerem. Wsadzili mnie do samochodu i pojechaliśmy na miejsce zbrodni. Lecz na cmentarzu nie znaleźliśmy żadnego budynku ani kaplicy. Nic, prócz grobów. Pamiętałem miejsce, ale cóż z tego, jeśli na nim rósł jedynie zmurszały dąb.

– W tym miejscu, pod ziemią, znajduje się rezydencja Pawła Pawłowicza – stwierdziłem.
– Przedtem stał tu dom, teraz rośnie drzewo, dla niego wszystko jest możliwe.

– Ale kim niby był ten Paweł Pawłowicz?

– Jak to kim? Diabłem, gachem mojej Tanji. Demonem, który wylazł z mojego obłądu. Musieliście znać tego gagatka, był częstym gościem w gospodzie „Pod kasztanem”. Zawsze stawał.

– Jakiego narzędzia zbrodni pan użył?

– Pistoletu. Wypaliłem do niego z parabellum.

– Gdzie broń?

– Nie wiem.

– Dobrze, zajmiemy się tym – powiedział jeden z nich i podał rękę na pożegnanie. – Jeśli będzie pan potrzebny, wezwiemy.

Doszli do wniosku, że jestem pomyłony, więc odjechali. Może racja. Czy ktoś kiedykolwiek zabił diabła? Tylko mnie się udało. A jeśli mnie się udało, uda się innym. Początek jest najtrudniejszy. To nasz świat, człowieczy, nie diabelski. Wymiar poezji, nie obłądu.

I tak gryząc ogon własnej goryczy wędrowałem przez park, nawiedzając kawiarnie i knajpki. W końcu na dworcu się odnalazłem z niejasnym przeświadczeniem, że czeka na mnie Paryż.

Zamknąłem oczy i pojechałem do tej Mekki artystów, aby pisać dzieło swojego życia i uczyć się malarstwa. Powinienem uwiecznić na płótnie śmierć demona. Chociaż ten jeden obraz namalować, jeden majstersztyk, niechby i własną krwią.

Wreszcie wyobraźnia wyrzuciła mnie ze swoich podwoi, podniosłem powieki i zadrzałem. Ujrzałem Penelopę, Tanję w towarzystwie Prezydenta i jeszcze kogoś odwróconego plecami. Wstręt mnie ogarnął i złość, zagryzłem wargi do krwi i rąbnąłem pięścią o ścianę. Ból przywrócił równowagę. Podszedłem, już spokojnie, do swojej wybranki. Tanja nie była zdziwiona moim widokiem, wprost przeciwnie, ucieszyła się jak małe dziecko odnajdując ulubioną lalkę.

– Biegnij, weź tylko maszynopis. Jeszcze zdązysz. Jedziemy do stolicy. Przyjęli mnie na studia. Zostanę gwiazdą, zobaczysz. Tak się cieszę. Gdzie byłeś?

Nie słuchałem zszokowany widokiem. Dobrą chwilę trwał stupor. To po prostu nie

mieściło się w głowie. Moja Tanja trzymała za rękę Führera: Adolf zajął miejsce Pawła Pawłowicza.

– Tanju – szepnąłem po chwili, już odrobinę uspokojony – co ty wyprawiasz, jesteś przecież Żydówką. Twoją rodzinę Adolf zapędził do Oświęcimia i z dymem puścił.

– Nikogo nie zabił własnymi rękami – odparła, przyciskając się do jego barku. – Czego nie można powiedzieć o tobie.

– Zabiłem diabła, zrozumiem...

– On nawet muchy nie skrzywdził – tkwiła w uporze. – Ma gołębie serce. Tłum za nim szalał, kobiety podczas jego przemówień orgazm przeżywały. Czy ty wiesz, co to znaczy, prowincjonalny poeta? A teraz może nie jest kochany? Tylko dobrze się przyjrzyj, zobacz ilu ludzi nosi skórzane kurtki i wojskowe buty.

– Chcesz zostać kochanką następnego diabła?

– Co ty z tym diabłem. Diabeł i diabeł, w koło Macieju – rzuciła ze złością. – Przy diable będę kimś. Bóg tylko nędzę rozdaje. A ja chcę zostać gwiazdą. Nie zastanawiaj się, jedź z nami. Nie pożałujesz.

– Dopadnę kiedyś i ciebie. Prezydencie – warknąłem półgłosem. – Wpadniesz w moje łapy, jak Paweł Pawłowicz. Zapamiętaj moje słowa.

– Jakie twoje możliwości, chłopczyku – Prezydent pogardliwie uśmiechnął się, błysnął zielenią oczu i skubnął hiszpański wąsik. – Na razie ja jestem panem. Nadal wszystko dzieje się pod moje dyktando.

Przeżyłem olśnienie, uchwyciłem ów moment, w którym umysł harmonijnie łączy materię z duchem. Nie był to wiersz, zamysł obrazu czy pierwsze dźwięki symfonii. Był to inny ciąg strasznej myśli, zamysł wtrącenia Lucyfera w poetyckie głębie, w wymiar, z powodu którego znienawidził człowieka. Myśl niebotyczna, dotykająca świętości. Skinąłem głową.

Masz rację. Przystępuję do twojego bractwa. Dość mam Golgoty. Życie niejednym ma smak.

– Wreszcie zmadrzałeś – Prezydent zatarł ręce z uciechy. – Widzisz Tanju, jakiego masz męża. Czysty skarb.

– Leć po maszynopisy, szybko, jeszcze zdążysz – ponagliła Tanja. – Tak się cieszę z twojej decyzji. Czegoś się wreszcie nauczyłeś.

– Jeśli nie zdążę, przyjadę jutro – odparłem chowając wizytówkę, którą wetknął mi do ręki Prezydent. – Wyjadę rannym pociągiem. Niech ktoś czeka na dworcu.

Wyszedłem. Nie spieszyłem się jednak. Należało wszystko dokładnie przemyśleć. Przecież miałem na powrót wstąpić w bagno. Niebagatelna rzecz. Zacząłem odczuwać niepokój, nawet strach. A jeżeli się zemszczą? Wszedłem w labirynt i zacząłem błądzić; odnajdywałem jedynie ślepe korytarze i zaułki bez wyjścia. Makabra. I tak błądząc trafiłem do kościoła. Pragnienie świętości mnie ogarnęło. Chciałem stanąć przed obliczem Boga, skruszyć się, pokajać. Znadto cuchnąłem już piekielnym swądem.

Padłem na kolana i zacząłem się modlić. Przyszła skrucha. Podniosłem głowę i wyciągnąłem ręce. O pomoc prosiłem. Jezus milczał. Czy niewiara, podobna do mnie, mogła wzbudzić Jego miłosierdzie? Jednak spokój spłynął.

Uciszony zamierzałem opuścić świątynię i wtedy uderzył we mnie ogień. Upadłem, a kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem Jezusa. Uśmiechnął się i natychmiast zniknął. Usłyszałem tylko echo, podzwonne jego słów, które oznajmiały, że mam porzucić straszną myśl i ruszyć z pielgrzymką do Ziemi Świętej. Przy Ścianie Płaczu ukaże się znowu.

I tak, następnego dnia, miast do stolicy, ruszyłem nad morze, aby znaleźć statek udający się do Izraela. Z braku grosza przy duszy, planowałem zamustrować na statek w charakterze marynarza.

Ostatecznie rozstałem się z Tanją. Zakończyłem jedną, a rozpocząłem drugą Odyseję. Rozstałem się z Tanją, choć nie z poezją, ta towarzyszyła mi w drodze. Dzięki poezji

zapewne w grzech wstąpiłem, z którego teraz muszę się spowiadać. Jak wyglądała moja ostatnia wina? Otwórzmy puszkę Pandory, wstąpmy w nowy krąg piekła.

CZĘŚĆ II

ROZDZIAŁ X

Wstąpiłem do piekła i ogarnął mnie smutek. Tak dojmujący, że chciało się wyć. I prawdopodobnie zawyłbym jak Proust, poszukujący straconego czasu, gdyby autobus nie zatrzymał się. Byliśmy na miejscu, na Bazie Promowej. Pobiegnę szybko do baru i poproszę o podwójny koniak. Nie dostrzegłem nikogo, nawet barmanki, którą każdy widział. Ja nie. Patrzyłem wyłącznie na złocisty płyn, który miał przywrócić mi radość życia. Uśmiech. Tęskniłem za uśmiechem. Smutni są własnością szatana. A czy mógłbym uśmiechnąć się nie przełknąwszy podwójnego koniaku? Nawet Coco nie potrafiłby otworzyć mojej radości, nawet Chaplin. Może twarz by się uśmiechnęła, ale serce nie. Wypiłem połowę z podwójnego koniaku i podziękowałem Francji za jej wynalazek; za słońce zamknięte w płynie, za niebo czarnej ziemi. Tajemnica bytu zamknięta jest w koniaku. I w winie. Już starożytni krzyczeli: in vino veritas. Powoli otwierało się me serce. Podniosłem głowę i uśmiechnąłem się. W kącie siedziała krupierka, szczęściara Helena, dopijając już czwartą czy piątą „pchełkę”, cała w skowronkach. Szczęściara, nieustannie pod szczęśliwą datą. Lecz piła tylko z muzykami i tylko z nimi sypiała. Pierwszy w jej objęcia wpadł skrzypek, ze względu na liryczną twarz. Następny był gitarzysta o epickich oczach, w końcu był dramatyczny perkusista. W interwałach zmieściła się trąbka i syntetyzator. Pod koniec szóstego dnia cztemastodniowej zmiany, muzyków rozmywało misterium tremendum. W siódmym dniu stawali się niewidzialni. Po prostu znikali. I nie widziano już ich do końca zmiany. Ale instrumenty grały. Od dwudziestej drugiej do trzeciej rano. I proszę powiedzieć, czy to nie cud? Cud Heleny. Przez nią znikają muzycy. O, rozpląkała się, zapewne z tęsknoty za którymś.

– Dlaczego tak zawodzisz? – zapytałem i zwilżyłem język koniakowym niebem, niebem Joanny d’Arc, Villona i Robespiera.

– Kobieta jestem, więc płaczę – odsmarknęła Helena. – Muzyków zwolnili z pracy, więc jak mam nie płakać?

– Skąd te hiobowe wieści? Może tylko zniknęli, jak zazwyczaj. Ani się obejrzysz, gdy wysnują się z niebytu. Niczym królik z cylindra prestidigitatora.

– Już się nie pojawią – zachlipała tak głęboko, że świat się zatrzęsł od tego szloch. – Matka Boska mi ich zabrała. Wczoraj ją przyśniłam, całą w chabrach, jakby ze światła utkaną. Dla mojego dobra pozbawiona zostanie orkiestry. Powiedz, z kim będę teraz balowała? Przecież mniszką nie jestem. Świat bez muzyki – to rozpacz.

– Baluj z poezją – powiedziałem czując smak nadziei.

– Z poezją radzisz – zamyśliła się piękna Helena, zmarszczkami znacząc swoje antyczne czoło. – Mickiewicz i inni. Ale skąd, na tym odludziu, poetę wytrzasnę?

– Jam poetą – poinformowałem i pokazałem jej najnowszy tomik, jeszcze świeży, pachnący drukarnią.

– Doprawdy? – z niedowierzaniem zaczęła wpatrywać się w wiśniową okładkę. – Kto by pomyślał.

– Ktoś pomyślał jednak, skoro przed tobą siedzi – uśmiechnąłem się i przyniosłem kolejną „pchełkę” Helenie i podwójny koniak dla siebie.

– Chyba masz dar przekonywania – jednym haustem wypila zawartość kieliszka. – Przestaję płakać, zdaję się na ciebie. Poetycko będziemy balować, poezję będziemy tańczyć.

I zaczęliśmy pisać poemat. Po słowiańsku, okowitą, na umór. Tak kazała tradycja. Przemieniliśmy się w podmiot liryczny. I nie wiem jak, nie wiem kiedy i dlaczego Helena

zmetamorfozowała się. Podnoszę oczy i oczom nie wierzę. Obok siedzi autentyczna Piękna Helena trojańska. Aż mnie zatkało. Musiałem jeszcze wypić.

– Czy musisz być pięknem antycznym? – zapytałem z niejaką trwogą. – Czy nie mogłabyś stać się pięknem mistycznym? Będzie ciszej. – Mistyka? Co to jest? Czy aby nie świństwo? – spytała nieufnie.

Załamałem się. Bo jak wytłumaczyć kobiecie, co to jest mistyka, gdy na stole stoi butelka koniaku, a ona wypija ćwierć jej zawartości.

Lecz na tym nie koniec zdziwień. Nagle okazało się, że nie siedzimy już w kafejce. Przy stole, owszem, ale greckim. Zaś obok rozpiera się król Priam. Szaty stosowne do godności, u pasa krótki miecz. I wygląda na to, że zażyłość nasza dosyć daleko posunięta. Dobrze mu z niebieskich oczu patrzy.

– Pij – zachęca – pijcie, wino daje mądrość. Pij, może oprzytomniejesz i niebo zobaczysz.

Piję, nie odmawiam, kielich za kielichem. Piję, bo lubię pić. Piję, bo tylko w trunku jest prawda. Piję, gdyż wiem o co chodzi. Nie chce Priam wojny. Nasłuchał się Kasandry i wstąpił w troskę. Prosi, abym pił, ponieważ liczy na to, że zmądrzeję i odeślę Helenę Menelaosowi. Mam odesłać Helenę, ja, dla którego piękno jest religią? Jeśli nie dla piękna będę żył, to dla kogo? – Słuchaj – zaszczebotała nagle Helena, jak słowiczek zaśpiewała. – Nie wiesz, więc ja ci powiem. Mój ojciec prał matkę po pysku i podbijał jej oczy. A może ty też takim chamem będziesz? – i znów szloch. – Tłukł ją za Mickiewicza, za to, że przypominała mu jego żydowski rodowód. Gdyby milczała kochałby ją jak dawniej, ślicznością przecież była. Ale ona nieustannie, jakby diabeł w nią wstąpił, o matce Mickiewicza, o tym, że przechrzta. Słuchasz? A ojciec piłsudczyk zawołany, nie pozwalał profanować świętości narodowych, więc wojna trwała.

Czy po tym, co powiedziała Helena, mógłbym ją oddać Menelaosowi? Jeśli matka ciągle plotła o Mickiewiczu, to córka też potrafi. Nie Mickiewiczem jednak będzie mnie gryźć, może Bursą lub Wojaczkiem. Będzie skwierczeć namolnie, od świtu do nocy, że dzieci nie mieli, a za poezję się brali. A czy można napisać dobry wiersz nie znając tego podstawowego zapachu? Ba! – na pewno nie.

Nie mogę wyrzec się Heleny, choćbym chciał. Nie wiem przecież, co we mnie drzemie. Tylko drugi potrafi zbudzić i wyszarpać z ciebie arcydzieło. Nie, nie wyrzeknę się jej nigdy. Przez wzgląd na poezję. Ewentualnie za Norwida wybiję jej zęby. – Nie oddam Heleny – twardo postawiłem się Priamowi.

– Tak myślałem – pokiwał swoją patriarchalną głową król Priam. – Parys nie oddał więc jakże ty mógłbyś postąpić inaczej. On zginał, ciebie też uduszą.

– Nie było mnie, byty wojny, nie będzie mnie, także będą. A Helena naprawdę mnie kocha.

– Kogo Helena nie kochała i kogo jeszcze nie pokocha? Tu nie o nią chodzi, ale o ciebie.

– Bez obaw – odrzekłem zadziornie. – A Heleny nie obrzydzisz. Zobacz jakimi głębiami ona świeci.

– Rozmawiasz z kimś? – zapytała Helena.

– Z Priamem, twoim niedoszłym teściem.

– Zgłupiałeś, mój teść już dawno nie żyje.

– W takim razie jego zdrowie – wzniosłem toast trochę bez sensu.

– Nalej!

Zadzwoniliśmy szkłem i wypiliśmy. W chwilę potem Helenie zaczęły kleić się oczy. Ziwnęła szeroko i niebawem posnęliśmy wtuleni w siebie.

Często opuszcza mnie dusza, wtedy nie wiem, gdzie byłem i co robiłem. Nieraz przez dwa dni. Tym razem wróciła, kiedy byłem na pokładzie manewrowym. Prom „Łańcut” już płynął kanałem w kierunku wyjścia. Jutro Kopenhaga. Jutro – baśnie Andersena.

– Koniec manewrów. Spać.

A mnie nie spać, lecz pić się chciało. Ale najbardziej to chciało się do Troi, do Heleny. Jest teraz w „szulerni” i gra black jokera. To jej chleb albo sól do chleba. I tak mi było ciepło na sercu, gdy o tym myślałem, że postanowiłem pójść tam, uśmiechnąć się do niej, lub choćby zerknąć na nią zza węgła. Zrzucę kombinezon i pójde. Po drodze zaszedłem do kabiny, aby zaszalutować Napoleonowi. Nalałem do pół masztu i mrugnąłem do profilu na etykietce.

– Twoje zdrowie, Bonaparte – szepnąłem. – Walczyłeś jak lew, a padłeś jak mucha.

Wypiłem i poszedłem. Jednak nie dotarłem do „szulerni”. Po drodze spotkałem bosmana. Był blady niczym ściana.

– Coś nie tak? Serce?

– Nie – z zakłopotaniem podrapał się po łysinie. Dostrzegłem strach w jego oczach. – Tam jest upiór.

– Czy mało ich dokoła – uśmiechałem się z ulgą.

– Nie wierzysz? Naprawdę widziałem. Nie tylko ja.

– Gdzie?

– W moim magazynku.

Ruszyłem w tamtą stronę, przeciskając się między samochodami. Drzwi były otwarte. Paliło się światło. Przy warsztatowym stoliku siedział nieznanego jegomość w czarnym garniturze. Na stole stała butelka „Smirnoffa” i trzy napełnione kieliszki. Obok, na gazecie, leżały ogórki i młoda cebula.

– Wejdz, nie krępuj się – usłyszałem. – Rasputin jestem, Grisza.

– Wariat – pomyślałem.

– Chcesz w pysk – usłyszałem.

– Za co? – zapytałem machinalnie.

– Za posądzenie, że jestem wariatem. Grisza Rasputin jestem. Ten sam, którego zamordował książę Jusupow, ten, którego zwłoki wrzucono do Newy, który pod wodą żył jeszcze dwie godziny.

Wstał i podał mi dłoń. Nie była zimna, ale też nie była ludzka. Nie czuło się ciała. Ogarnęło mnie obrzydzenie i chęć splunięcia mu w twarz.

– Nie próbuj, bo napytasz sobie jeszcze większej biedy – rzekł blednąc i zawieszając na mnie swoje demoniczne spojrzenie.

– Chciał cię opluć, więc zamień go w szczura. On ich się brzydzi i boi.

Rozejrzałem się dokoła. Nikogo nie zauważyłem.

– To mój brat – rzekł z uśmiechem Grtsza. – Siedzi obok, Józef Wissarionowicz, Soso Dżugaszwili. Znasz go, prawda?

– A kto go nie zna!?

– Widzisz, Koba, nadal musisz być niewidzialny – uśmiechnął się Grisza. Stuknęli się kieliszkami i wypili. – Ludzie cię nadal lubią. Obdarzałeś bezkarnością. Być bogatym, to nie to samo, co być bezkarnym. Stać ponad prawem – to jest to, o co chodzi ludzkości.

– No, zmieniaj go w szczura – nalegał niewidzialny. – Nie zapominaj z kim masz do czynienia. Pamiętaj, że to Polak jak Dzierżyński. Oni są zdolni do cudów. Szczur pasuje do niego. Im szybciej to zrobisz, tym lepiej dla nas.

– Cicho – szepnął. – Robię co mogę. Napij się z nami – zwrócił się do mnie.

– Dziękuję. Nie po drodze mi z wami.

– A wiesz po co wsiedliśmy na ten prom? – zapytał Koba. – Po to, aby cię udusić. Ja albo Grisza.

– Dziwne pomysły mewacie – odezwałem się po chwili, wstrząśnięty groźbą. – Ale czy po was można się lepszego spodziewać? Jeden z Gruzji, drugi z głuchej Syberii. Azjatycka dzicz.

– Zamknij się – rzucił groźnie. – Nasza wina, że urodziłeś się w marnym czasie?

– Cóż ja takiego zrobiłem?

– Słyszysz, Koba – Rasputin uśmiechnął się do niewidzialnego Stalina, przez chwilę nawet rechocząc. – On, swołocz, nie wie czym urąga Lucyferowi. Nie rznij durnia, dobrze?!

– Kiedy ja ni w ząb... naprawdę – zacząłem zwodzić.

– Może rzeczywiście nie wie. Co, Koba? Ty także nie wiesz za co na ciebie wódz krzywym okiem patrzy.

– Tylko nie mów mu w czym rzecz. On i tak do nas nie przystanie – rzekł Koba. – Będzie nam łatwiej go powiesić.

– W końcu powiesić czy udusić?

– Co za różnica. Nie czepiaj się słów.

– Dla mnie różnica. Już raz mnie wieszali. Chciałbym umrzeć jak należy.

– Wyszczekana swołocz, nie ma co. Już się o to postaramy, abyś zszedł na psy i zdechł niczym pies. A jeśli nie zdechniesz, to cię udusimy jak psa. Jak nie spojrzeć – psi los przed tobą.

– Biedne dupki – przerwałem. – Żał was. Żał mi cię Koba. Mogłeś zostać poetą, a przynajmniej popem. Kim teraz jesteś?

– Milcz! – krzyknął chrypliwie.

– I ciebie mi żal, Grisza. Charyzmatykiem byłeś, a diabeł cię wziął na plewy. Żal i dlatego się z wami napiję. Ale tylko koniaku.

– Wreszcie powiedziałeś coś sensownego – ucieszył się Grisza i zatarł ręce. – Skocz, Koba, po Napoleona.

– Może być Camus – rzuciłem z uśmiechem, jakbym nie z mordercami siedział, nie z tymi, którzy mają mnie udusić. – A teraz proszę o treść oskarżenia.

– Aleś naiwny – pokiwał głową Grisza. – Ewangelię czytałeś? Odpowiesz, że nie raz. Czytałeś, a nie wiesz. Czarno na białym stoi, że ten świat do szatana należy. A co robi król, kiedy przestaje się go słuchać? Skraca o głowę, prawda? Oto akt oskarżenia.

– Kto doniósł?

– Sam się nieustannie oskarżasz. Lepszego donosu nie trzeba. Czym interesuje się diabelskie nasienie? Polityką, władzą, pieniądzem. A ty co? Żyjesz sobie niczym średniowieczny trubadur. Jak święty Franciszek z Asyżu. U niego też się wszystko zaczęło od poezji, on wręcz z niej wyszedł. I kochał wszystkich Dla niego nawet diabeł był bratem. Dla ciebie też.

– Taki już jestem.

– Nie narzekaj więc. Żyjesz wbrew regułom tego świata, zatem wyrok jeden być może.

– Nie lękam się śmierci, zrozumiałem ją.

– Wiem – odrzekł. – Każdy jest tym, czego się boi, przed czym odczuwa strach. Ciebie trwoży Bóg, należysz więc do niego. Ja bałem się diabła, zatem stałem się nim. Jeszcze za życia. A Stalina, naszego Kobę, nieustannie męczyły koszarne sny, w końcu stał się Koszmarem.

– O mnie mówicie – usłyszałem głos Koby i na warsztacie pojawiła się napelniona w trzech czwartych koniakówka z butelką Camusa. – Dziwne to wszystko, zabawne – ciągnął Koba. – Ja bałem się diabła, a mnie całe imperium, matiuszka Rasieja. Hitler się bał i jego się bali jak ognia...

– Wypijmy za spotkanie – przerwałem tyradę. – Bóg mówi, że tak samo mam kochać morderców, jak świętych.

Gdy wypiliśmy poczułem się jeszcze bardziej słonecznie. Więcej błękitu weszło we mnie, więcej kwiatów było na zielonych łąkach i ptaków na drzewach. I jeszcze większa bez troska ogarnęła. Nie widziałem przeszłości i nie sięgałem po przyszłość. Było tylko to co jest – codzienna bieda.

Grisza w zamyśleniu szarpał zatłuszczony kosmyk włosów i zapewne był tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Koba też się nie odzywał.

- Jest nam dobrze, więc porozmawiajmy o istocie poezji –zagadnąłem.
- Tylko nie o tym – natychmiast sprzeciwił się Koba. – Nie nasza to rzecz. Zresztą...
- Co zrobiłeś z Mandelsztamem, kanalio?
- Niezły był kiedyś. Jednak zbiesił się. W dodatku napisał ten słaby wiersz o mnie. „Żal, zmarnuje talent” – pomyślałem i wysłałem do Woroneża. A on, zamiast wziąć się w garść, zaczął się jękać i błagalne listy słać. Poeta wszędzie musi być poetą. A on zamiast pisać – skomlał. Kiepskie wiersze to i ja płodziłem.
- Wielu obrzydliwe panegiryki bazgrało na twoją cześć. I nie miałeś im za złe.
- Wierszokleci, ci których oblatywał strach. Czy Borys Pasternak napisał o mnie wiersz? Nie napisał. Czy spadł mu włos z głowy? Nie spadł.
- A Cwietajewa?
- Czy choć palcem ją tknąłem. Swoi ją zamordowali. Powiesiła się, głupia baba, z rozpaczy.
- I proszę, wszystko ma proste wytłumaczenie, prawda?
- Wnerwiasz mnie – krzyknął tak głośno, że Grisza zatkał uszy. – Poetów nie mordowałem. Wierszokletów i naprawiaczy świata, podobnych do mnie – owszem. Nie żał śmiecia. Czy mam żałować Tuchaczewskiego, który pół guberni tambowskiej wymordował? Albo Trockiego? Na tym świecie może tylko poeci są ludźmi. Reszta diabelskim pomiotem.
- Koba ma rację – kiwnął głową Grisza. – Modlący się albo o coś proszą, albo za coś dziękują. Jedynie poeci niczego nie pragną, w każdym razie ziemskiego. Stąd wyrok na ciebie – dodał po chwili.
- Nie nudź – odciąłem. – Pewnie sam chciałbyś spróbować tego, przez co wyrok na mnie.
- Tak – przyznał z ociąganiem. – Każdy diabeł o tym marzy w skrytości.
- Pozwól więc, abym opatrzył twe rany. Cały w strupach jesteś.
- Gdybyś zobaczył Kobę – odparł z uśmiechem – dopiero byś się za głowę złapał. Za życia był dziobaty, a teraz – obrzydzenie bierze.
- Pozwól, Grisza sobie pomóc. Tylko ci rany opatrzę. Zgódź się. Z piekła też jest wyjście.
- Niemożliwe – odszepnął zaskoczony.
- Wystarczy uwierzyć.
- Grisza! – ostrzegawczy wrzask Koby wstrząsnął nami. – Nie zapominaj kim jesteś! Zamień go w szczura.
- Ech, Koba, Koba. Nie widzisz? Robię co mogę.
- Strasznie cierpisz, Grisza – wróciłem do tematu.
- Nie twoja sprawa. Nie lituj się.
- Cierpienia bywają rozmaite – nie dawałem za wygraną. – Przez niektóre można zmartwychwstać.
- Uduś go – warknął Koba. – Widzisz, co się święci.
- Koba, Koba – cierpko uśmiechnął się Rasputin. – Jesteś tu po znajomości. Nie potrafisz być wdzięczny?
- No, nie gniewaj się, Grisza – szepnął po chwili. –Żartowałem przecież. Wypij z nami. Piotrze. Nie mieszaj. Nie psuj roboty. Twoje zdrowie.
- Powiem ci coś, Grisza – wtrąciłem nacieszywszy koniakiem, wtedy, gdy złotawy płyn otworzył we mnie jeszcze jeden człowieczy wymiar. – Polubiłem cię. I wiesz co? Oddam ci swoje ciało. Do zmartwychwstania daleko, a ty cały we wrzodach. Wybierz cierpienie poety, proszę.
- Rasputin stropił się, zagryzł dolną wargę i począł nerwowo targać kosmyk włosów. Nawijał i odwijał, twarz stawała się coraz bielsza, oczy jaśniejsze, coraz bardziej ciepłe, a kiedy nabrały wiosennego odcienia, podniósł głowę i uśmiechnął się.
- Zgoda – szepnął – lecz tylko na moment.
- Weź na zawsze, z serca daję.

– Niemożliwe. Boga nie oszukamy.

Nagle padliśmy sobie w objęcia. Pocałowałem Griszę i stałem się nim, a on mną. Diabeł przeniknął moje członki, trzewia. Czas przestał istnieć. Byłem Rasputinem Naga caryca klęczała przede mną i drżała z podniecenia. Posiadłem ją. A potem po kolei, co leciało. Pociłem się i nieustannie ten pot zlizywały najpiękniejsze kobiety Petersburga. Lizaly spazmując, pluły z obrzydzenia i znowu przychodziły. A ja piłem i słuchałem cygańskich romansów. Piłem za kres Rosji, Kobę już widziałem, jej nowego cara.

– Wypijmy, Koba – i rozejrzałem się za koniakiem. Nie dostrzegłem jednak butelki. Grisza też zniknął, w moim ciele. – Gdzie Rasputin? – Diabli go natychmiast wzięli – rechocząc odparł Koba. – Nie przejmuj się nim, wróci. Potulny jak owieczka. Zobaczysz.

I miał rację. Przede mną już klęczał Grisza z błagalnie wyciągniętymi dłońmi, przypominając zbitego psa.

– Piotruś, kochany – szepnął żarliwie. – Nie mam poetyckiego serca, więc zobacz, co ze mną zrobili. Zmiłuj się nade mną.

– A może ty, Koba, chcesz zostać poetą?

– Tylko nie to – zaprotestował klęczący. – Koba jest największą z gnid, nawet wśród diabłów – i przylgnął poranionymi ustami do mojej ręki. – Posłuchaj mojej rady.

– Dość, chłopcy, dobrego – odparłem twardo zwracając Rasputinowi jego pierwotną tożsamość.

Powrotowi towarzyszył szarpiący ból. Opory ciała dało się jednak z trudem, co prawda, przezwyciężyć. Krótco po tym znów byłem w pełni sobą. Wystarczyło silniejsze skupienie.

Nagle, widząc moją przemianę, przypuścili wściekły atak. Lecz już mijaliśmy się. Coś unosiło mnie nad ich wyciągniętymi ramionami. Jeszcze raz uciekłem.

ROZDZIAŁ XI

Przyśniły się wiedźmy. Szekspirowskie. A może to nie sen? Miałem przecież do czynienia z nieczystymi siłami. W każdym razie zauważyłem, że – ni z tego, ni z owego – zaczął krwawić wskazujący palec. Jakbym miał cyrograf podpisać. Do ambulatorium parę kroków. Pukam – nikt nie odpowiada; otwieram – a tam kłęby dymu, opary i zgłiszcza, jak w Makbecie.

– Hej, Piotrze – usłyszałem – właśnie o tobie mówimy – i coś, dosyć energicznie, wciągnęło do środka. Opary zniknęły. Patrząc za stołem trzy wiedźmy. – Układamy requiem. Oplakujemy cię i wspominamy dawne dzieje. Jutro pożegnasz się z tym światem. Wissarionowicz wziął się na ciebie. I Grisza. Serca nam pękają. Było nie było twoimi kobietami byliśmy. Było nie było obcowaliśmy z nami.

Zadrzałem wyteżając wzrok i pamięć. Zgadzało się. Przede mną siedziały: Julia, Rachela i Izolda. „Gdzie Tanja” – pomyślałem.

– Wiemy, że kochasz nas jeszcze – szepnęła Julia z uśmiechem. – Czyż poeci nie kochają do grobowej deski? Dlatego przyszliśmy podtrzymać cię na duchu. O godziwy pochówek się nie martw, zadamy o stypę i kwiaty, i orkiestrę dętą. O wszystko.

– Ale bądź grzeczny, daj się udusić, nie zrób nam wstydu – zwróciła się do mnie tonem dobrej matki złotowłosa Izolda.

– I umieraj tak jak kochałeś – uzupełniła Julia. Bo kochałeś niczym Don Kichot, kochałeś tak, jakbyś Sommosierzę zdobywał – i przymknęła z rozkoszą oczy.

– „Oto w jakich naczyniach dojrzywał mój talent. A co przed nimi? Strach pomyśleć”. – I byłbym z tego powodu zaskomlał, jak zranione zwierzę, lecz w czas przypomniałem sobie poczęcie wśród spadających gwiazd. Zapowiedź tego, co dzieć się miało po mój kres. Przełknąłem gorycz i sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni. Była tam moja ulubiona pierśiówka. Golnąłem sobie raz i drugi. Dla pewności. Teraz to na pewno nie przemienia mnie w szczura. Smętniaków przemieniają. Do radości diabeł nie ma dostępu.

I tak rozmyślając brnąłem z wiedźmami do kafeterii na ogólnie załogowe zebranie. „Obecność obowiązkowa” – mendził przez głośniki steward dyżurny.

Usiedliśmy w kącie, pod oknem. „Trzymaj się, Piotrusiu – dodałem sobie otuchy, łykając z pierśiówki ponownie. – Bądź dzielny. Nie zapominaj, że w odwodzie piękna Helena”.

– Oczy jej wydrapiemy – dotarł ściszony głos Izoldy, zapewne czytający w moich myślach. Puściłem groźbę mimo uszu.

– Uważaj, Stalin na horyzoncie – ostrzegła szeptem Julia. Miej się na baczności.

Rozejrzałem się, ale nie zauważyłem Gruzina.

– Odczyt będzie o diable – poinformowała Rachela. – O jego roli w historii świata.

I w tym momencie dostrzegłem Kobę. Stał w kącie, obok otwartych drzwi, zaś przed nim klęczał siwiuteńki król Priam. Co chwila całował jego dłoń, którą trzymał w swoich rękach i o coś usilnie prosił. Gruzin ignorował Priama, uważnie penetrując wzrokiem kawiarnię. Bez wątpienia mnie szukał. „Chce się wykazać, gad”. Wstrząsnęło mną obrzydzenie, więc golnąłem sobie, do dna wypilem.

Weszła piękna Helena, usiadła obok.

– Chcą cię udusić – usłyszałem ostrzeżenie. – Wyrok ma wykonać dziadzio Stalin. Stąd ta cała heca z odczytem.

– Pojmuję. Lecz dlaczego ten dostojny starzec klęczy przed tą kanalią.

– Pragnie wyjednać łaskę. Siebie chce złożyć w ofierze. Koba jednak się nie zgadza. Nie uznaje śmierci zastępczej.

– Ma być cisza w tym grajdołku! – jednocześnie krzyknęły wiedźmy.

Spoglądałam i oczom nie wierzę. Patrząc i oczy przecieram. Czy to możliwe? A jednak. Oczywisty fakt, jak dwa i dwa – cztery. Nie kto inny, tylko Sokrates polski, pan Kołakowski,

we własnej osobie, wszedł do kafeterii w towarzystwie urodziwej Krystyny, naszej pielęgniarki. Krystyna trzymała filozofa za rękę w szczególny sposób, jakby badając puls. Coś jednocześnie z powagą tłumaczyła. Rumieniec zdobił policzki obojga. Być może przedyskutowali już zalety irish coffee, podwójnej albo potrójnej, bo nie zauważali nikogo, albo widzieć nie chcieli. Zapewne w grę wchodziło to drugie. I nie dziwny się. Pan Kołakowski zawsze przedkładał Ateny nad Jerozolimę, miał więc moralne prawo kontemplować Krystynę i zachwycać się jej decorum. Ale czas upomniał się o Sokratesa. Rozejrzał się po sali i powoli, bardzo powoli zaczął drażnić problem, dręczący go od wielu lat: „Czy diabeł może być zbawiony”? Słuchałem z zapartym tchem, świadom coraz silniejszego wciągania w niejasną rozgrywkę. „Czy podołam wyzwaniu. Jak się to wszystko skończy?” Powaga sytuacji trochę deprymowała. „Naprawdę nie przelewki” – westchnąłem w duchu, odruchowo sięgając po piersiówkę. Daremnie. Kieszonka była pusta. Zgubiłem? Nie, Izolda trzymała butelkę w rękę, prowokacyjnie odwróconą, pustą. Niepokój wzrósł. Coś niewyraźnie smutnego rozlało się w piersi. Helena trojańska w mig pojęła moje wzburzenie. Dyskretnie sięgnęła do torebki. Z jeszcze nie rozpieczętowaną piersiówką zsunąłem się pod stół. Lecz ręce tak dygotały, że nie mogłem sobie poradzić z jej otwarciem. Zimny pot zrosił kark. Czyżbym doznał do przepaści? Co dalej? Łzy bezsilności zapiekły w kącikach oczu, miękkie kolana nie pozwalały wstać. Wtem poczułem czyjąś obecność. Podniosłem głowę. Przede mną, w pozie wyzywającej i jednoznacznej, siedziała Julia. Tego było za wiele. Zaszlochałem.

– No, dobrze już, dobrze – dała za wygraną. – Zapomniałam, żeś taki wrażliwy. Jeśli nie to – podpisuj cyrograf.

– Nic z tego – zaprotestowałem, nagle otrzeźwiony brzmieniem tego strasznego słowa. – Otwórz tę cholerną butelkę.

– Draniu – syknęła. – Wzgardziłeś mną. Dopiero Rasputin ukoił mnie w swoich ramionach.

– Kłamiesz!

– Nie kłamie – zamiast Julii odpowiedziała Rachel, która także zsunęła się pod stół – ty sukinsynu. Za uboga jesteś, powiedziałeś mi, za uboga, aby cię stać było na poetę. Uchyliłeś kapelusz i wyjechałeś. A tak liczyłam na ciebie, tak bardzo chciałam mieć poetę za męża. Z tego powodu skończyłam filologię.

– Niby skąd Julia wzięła dziecko? Poczęła z ducha, co? Z kim ty kąty wycierałaś, gdy wstępowałem w poezję? Z Mefistofeilesem swawoliłaś. Nie otworzyłaś mojego serca, otwórz przynajmniej butelkę.

– Podpisz cyrograf, coś za coś – zachichotała zręcznie puszczając krew z palca prawej dłoni. Szybko włożyłem palec do ust, aby żadna kropla przypadkiem nie skapnęła na pergamin. Chyba niewiele dzieliło mnie od omdlenia.

– Zamieńmy go w szczura – twardo rzuciła Izolda. – Wtedy ulegnie.

– I proszę, zostałeś żoną Koby – szepnąłem – sypiasz z gadem. A kto twoim gachem, Rachelo?

– Nie zgadniesz – zareagowała natychmiast z radością w głosie. – Ktoś wielki, na literę L, sam Lucyfer.

– Nie wierz – złośliwie zachichotała Julia – tej wywłóce. Nawet do drzwi nie dopuścił...

– Zasnąłeś tam? – pod stół zajrzało trojańskie piękno. – Nie bój się, wychodź. Jestem przecież przy tobie.

– Nie mogę odkorkować – podałem jej butelkę. Zwróciła natychmiast, już otwartą. Szyjka zadzwoniła o zęby. Jeden haust, drugi jeszcze głębszy i – ulga. Duch wskoczył w zawiasy. Uśmiechnąłem się, podsuwając wiedźmom figę.

– Mnie w szczura, niedoczekanie! – Podarty cyrograf deszczem confetti okrył podłogę.

Wylazłem spod stołu. Przytuliłem się do Heleny i na powrót w słuch się przemieniłem. Było nie było, mówił Sokrates polski. O czym? Rzecz jasna wciąż o diabelstwie, które nas otacza. Tylko parę osób słuchało z uwagą, reszta ziewała. Wreszcie ktoś nie wytrzymał i krzyknął:

– My nie wierzymy w diabła!

– To naturalne – zripostował Sokrates polski. – Szatan z natury jest niewierzący. Nie wierzy nawet w to, co robi. Bo w co ma wierzyć ten, który nieustannie czyni świństwa?

– Za przeproszeniem, do kogo pijesz?

– Mówię o nas, ludziach.

– Ludzi to szukaj pan sobie na dworcu. My stewardzi.

Zapachniało knajpianą rozróbą. Niektórzy już znacząco się poszturchiwali. Groźbę, niespodziewanym wejściem, zażegnał Kapitan.

– Panowie! Pan pozwoli, że ja teraz powiem kilka słów – zwrócił się do filozofa. Polski Sokrates odetchnął z ulgą i natychmiast odnalazł dłoń uroczej Krystyny. – Spokój! – zaczął Kapitan. – Proszę się nie gorączkować. Wykład pana Kołakowskiego jest nieprzypadkowy. Każdemu wiadomo, że od pewnego czasu, na naszym promie, dzieją się rzeczy dziwne. Widmo krąży pokładami, jak ktoś podobnie kiedyś powiedział. Dosłownie – diabeł. I to więcej, niż jeden. Skąd nieczyste siły? Ano stąd, że wśród nas zjawił się poeta. Sami wiecie kto nim jest. Dzisiejszej nocy szatan złożył mi wizytę przedstawiając żądanie. Mamy skazać poetę na śmierć. Nie wyokrętować, ale wytoczyć mu proces i skazać. Jeżeli zaś ultimatum nie zostanie spełnione, promowi grozi zagłada. Rychła. Nieodwołalna. Albo albo. Albo poeta, albo prom: praca, pieniądze, lewe dochody.

– Widział pan diabła? – zapytał z niedowierzaniem nocny steward. – Prawdziwego? Jak wyglądał? To brzmi jak żart!

– Jak? Sami oceńcie – odrzekł Kapitan z uśmiechem. – Mogę przedstawić. Oto on!

I nagle Koba pojawił się obok Kapitana. W swojej klasycznej pozie, znanej z portretów, pomników, podręczników szkolnych.

– Przecież to Stalin – zająkał się ciekawski, zbladł, usiadł i zmieszany ukrył twarz w dłoniach.

– A ty kogo chciałbyś zobaczyć? Sokratesa? Sokrates siedzi obok i Krystynę zabawia. Nie bądźcie naiwni, panowie i panie, od początku świata wiadomo chyba, kto rządzi światem. I kto dowodzi. Gdy idzie o naszą sytuację, to osobiście wolę Stalina niż Adolfa, bliższy sercu.

– My też – niewyraźnie, jakby bez przekonania zaszemrali zgromadzeni.

– Bracia i siostry – odezwał się Koba, przeczekawszy poruszenie. – Powróciłem z radością. Niezmiernie się cieszę mogąc wśród was przebywać. Lecz jeśli nie chcecie, otwarcie mówcie. Cóż, jak widzę, sprzeciwu brak – zaczął po chwili. – Wiem, że można mi to i owo zarzucić, jednak pokażcie mi człowieka bez winy.

– Precz! – krzyknąłem.

– Nie jest pan u siebie – usadził mnie Kapitan.

– I on nie jest – odrzekłem.

– Żeby nie przedłużać niepotrzebnej gadaniny – powiedział Kapitan, nie patrząc już na mnie. – Przystąpmy do głosowania – i ukłonił się Kobie. – Albo. Albo.

– Jednak nie można tak, co by nie rzec, poeta – nieśmiało odezwał się ktoś z sali. – Nie uchodzi nam, Polakom, skazywać poety na śmierć.

– Niektórym we łbach się mąci. Zadarł z diabłem? Zadarł. Jego broszka. Teraz niech płaci – odszczeknął delegat związków zawodowych.

– Opamiętajcie się... Norwid, Słowacki – nie dawał za wygraną.

– Nie marudź, koleś, wierszy i tak nie czytasz. Po co ten splin. Daj se siana.

– Ja nie, ale może dzieci będą. Nie chcę, aby córka przypominała moją starą.

– Święty się znalazł. Albo albo. Nie umywaj rąk.

– Racja – poparł Kapitan. – Głosujmy wreszcie. Kto jest za, proszę podnieść rękę. Tylko trzy osoby były przeciw. Jedynie trzy wiedźmy nie chciały mojej śmierci. Oraz Helena.

Poczułem się tak, jakby ktoś z rodziny plunął mi w twarz. Wzburzona treść żołądka podjechała ku górze, sięgnąłem po piersiówkę. Dwa głębokie hausty jakoś uspokoiły, chwyciłem Helenę za rękę i wyszedłem.

Zaczynała się dyskusja nad sposobem wyekspediowania mnie z tego świata.

ROZDZIAŁ XII

Czy dziw, że czułem się zdeptany i sponiewierany? Żal ścisnął krtań. Kto ujął się za mną? Trzy wiedźmy. Ironia.

Schodziliśmy w dół, do kabiny Heleny, a mnie się wydawało, że zdobywamy strome zbocze. Coraz mniej światła w oczach. Kiedy weszliśmy do kabiny, ogarnął zupełny mrok, gęsty niczym smoła. Upadłem na kolana. Na co czekałem? Na cud, śmierć? Może na jakiś znak. Nikt się nie pojawił. Czułem spływający pot, lepki i gorący. Helena otarła mi czoło i przyłożyła butelkę do ust. Przymknąłem, otworzyłem oczy. Piękno było jednak ze mną. Nie opuściła Helena trojańska. W niej się skryję, w niej znajdę pocieszenie. Mocno przyłgnałem do pocieszycielki, próbując w uściskach się zatracić.

A kiedy znowu poczułem swoją gorycz i zagryzłem wargi do krwi, Helena wyprowadziła mnie na ścieżkę i posłała do Hioba. Nie sprzeciwiałem się. Tyle nieszczęść spadło nań, a ja odwiedziłem go raz, może dwa, wstyd. Zapomnieć o starszym bracie w cierpieniu. Teraz mnie, jak kiedyś jemu, diabeł depta po piętach. Opowiem o tym, doda otuchy, zna się na tym. „Dlaczego Bóg wziął się na naszą rodzinę?”. Hiob wie, tyle lat doświadcza bólu, ostrzejsze spojrzenie u niego, był przecież na dnie.

Lecz nie dał mi Hiob odpowiedzi. Nie zastałem już biedaczyny wśród żywych. Leżał w całunie, oczekując na pochówek.

– Popiełzył samobójstwo – oznajmiła Kasja, jego żona. –Widocznie do żywego dojadło mu odtrącenie.

– Taki był cierpliwy i pogodny.

– Nie wytrzymał. Każda cierpliwość się kończy. Bóg też nieraz przesadza.

– Wiedział, że Bóg ma go w swojej opiece.

– Tobą też zaczął się opiekować – odparła nie tając zgryźliwości. – Już nasłał na ciebie zbirów. Wspominał mi o tym Hiob. I to kogo?! Ty mu wiersze z głębokości serca, a on w zamian pętlę na szyję. Co za rodzina. Z jednej strony Bóg szarpie, z drugiej diabeł.

– Nie nam to rozstrzygać. Jednak kochałaś.

– Nie Hioba i nie jego Boga.

– Błuźnisz!

– Tak, on się modlił, ja błuźniłam. On umarł, ja żyję. Bóg jest nienasycony, pożre wszystko. I nie dojdiesz za co lepiej płaci. Diabły hoduje w określonym celu.

– Uspokój się.

– Miłość wola. Tyle lat milczałam, teraz będę mówić.

– Przestań – zachęcająco podałem piersiówkę. – Łyknij sobie, ulży.

Nie odmówiła. Przyniosła kieliszek, napełniłem. Zapadło dłuższe milczenie.

– Wypiłam za naszą miłość – szepnęła. – Teraz bądź tak dobry i wykop dół. – Pomilczała chwilę z opuszczoną głową. – Nikt nie przyjdzie na pogrzeb. Przestraszyli się ludzie czyraków. Chciał, aby pochowano go w ogrodzie.

Wziąłem łopatę i poszedłem. Odnalazłem ulubiony tamaryszek Hioba bez trudu. Pewnie z tego miejsca będzie rad.

Nie szło mi łatwo, choć znałem się na tym. Cały czas czułem się tak, jakbym sobie kopał, jakbym w sobie wyrąbywał grób. Co kilkanaście sztychów łykałem z piersiówki. Porządna grabarska robota bez alkoholu niewiele warta. Trudno na trzeźwo gawędzić z ziemią. „Ziemia jest dobrym słuchaczem, lubi słuchać człowieka i człowieka lubi. Wraca do niej, choć z niej nie wyszedł. Sprawiedliwa jest ziemia, nikogo nie poniży, nikogo nie wywyższy, czy król czy żebrak, święty czy kat. Nie sędzi i nie karze, każdego przyjmie, każdemu azylu udzieli...”

I tak przemawiając, łącząc przyjemne z pożytecznym, ani spostrzegłem, gdy grób był gotowy. Solidny dół wykopałem, z dumą na dnie usiadłem, plecy o czołową ścianę opierając. I dopiero wtedy przypomniałem sobie, po co Helena do Hioba wysłała. Przez miłość. Aby

żył i zawierzył temu, który w cierpieniu uzyskał tytuł mistrzowski. O nikim Bóg nie powiedział, że jest sprawiedliwy, tylko o Hiobie. Cóż, jednak i mistrz cierpienia nie wytrzymał, za duża była czara gorzkości.

Z niczym wrócę do Heleny. Jak zwykle. I wyciągnąłem piersiówkę, kilkoma haustami opróżniając ją prawie do dna. Życie moje na włosku wisi. A czyje nie wisi? Tylko nie każdy ów włoszek dostrzega. Ja widzę nieustannie i dlatego piję. Lub piszę wiersze. Ten włoszek obudził we mnie poetę. Jak mogę, owym włoskiem, ceruję swoje strzępy. W marnym czasie jestem przecież urodzony.

– Miłość nie jest marnym czasem – nagle usłyszałem głos znad głowy. Na pryzmie ziemi, obok dołu, siedziała Julia. – Nie jest marnym, bo szukałam i znalazłam. Wciąż przede mną uciekasz, nieustannie gonię za tobą. Nadal cię kocham. Zrób coś. Wiem, że możesz. – Zsunęła się do grobu i usiadła na kolanach. – Miłość nie jest marnym czasem. Odczyń mnie, uzdrów. Proszę, przestanę być wiedźmą. Zlituj się, bądź Szekspirem.

– Opamiętaj się! Powiedz, czy wiesz, co znaczy przekroczyć hybris?

– Głupcze cudowny – szepnęła – już dawno przekroczyłeś. Dlatego Koba cię ściga. Dlatego tu jestem Nawiedz mnie tylko... – i tak szepcząc coraz ponętniejszą się stawała, coraz bardziej błękitną i radosną. Jeszcze trochę, a, być może, przyćmiłaby piękno Heleny. Lecz opatrność czuwała, kości jej zadzwoniły, głuchy dźwięk wydały, jak pęknięty dzwon. Ocknąłem się z czarą. Natychmiast wrócił marny czas. I znów po piersiówkę sięgnąłem.

– Czy tylko po to przysłaś?

– Usłyszałeś dzwonienie? – naparła nie odpowiadając. Gdy potwierdziłem, rozpląkała się. – Przez ten dźwięk nigdy nie wyjdę z marnego czasu, na zawsze zostanę wiedźmą. A tak bardzo cię kocham, tak bardzo.

– Kłamiesz, dlatego dzwonią twe kości.

– Jest jeszcze coś, o czym powinienes wiedzieć – odrzekła wycierając łzy. – Ułaskawiono cię. Kapitan anulował proces. Osobiście poprosiłam Lucyfera, aby odwołał Kobę.

– Nie kuś, Julio. Znowu kłamiesz – z niezadowoleniem pokręciłem głową. – Poza tym wiesz, że serce moje przy pięknej Helenie. Dość zdrad.

– Urwę głowę twojemu pięknu – zawyla histerycznie, gramoląc się z grobu. – Jeszcze i to dla ciebie zrobię.

– Julio, błagam, na pamięć tego, co między nami było! – wyskoczyłem za nią, lecz nadaremnie. Zniknęła.

Zaniepokoiłem się. Zakochane kobiety zdolne są do wszystkiego. A zakochane wiedźmy? Wolałem nie myśleć. Nieszczęsna Julia. Chęć powrotu za wszelką cenę, niegdyś zgotowała jej los wiedźmy. Była i nadal jest fatalistką. Muszę ostrzec Helenę. Ukryję ją w Troi, w sercu Troi. Nie oddam Heleny nikomu.

– Za wiele kobiet na twoim tropie. Jak dworzec twoje serce – niespodziewanie usłyszałem znajomy głos. – „Czyżby Koba?”. – Patrz w dół – padło uzupełnienie. Spojrzałem. W grobie siedział Hiob. Zdrowy, czysty, bez czyraków i robactwa. – Dlaczego tak lecą na ciebie?

– Co tu... robisz? – wydukałem zaskoczony.

– Na pogrzeb czekam – wyjaśnił. – Powiedz, co w tobie ukryte, że tak lgną.

– Poezja. Przeklęta i błogosławiona. W duchu i ciele. Na tym oraz na tamtym świecie. A teraz odpowiedz: dlaczego podniosłeś na siebie rękę?

– To nie ja – odrzekł z gorzkim uśmiechem. – Kasja nie wytrzymała i otruła mnie.

– Czy za to, że nie bluźniłeś Bogu?

– Nie, nie z tego powodu. Z twojej przyczyny. Ciebie pierwszego pokochała, a ty ją odtrąciłeś. Wysłała za mnie, aby być blisko ciebie.

– Nie dawałem jej nigdy nadziei.

– Kto raz pokocha, nie ustanie. Nie potępiaj – poprosił. – Jest bielsza od Heleny. Uszanuj uczucia, bo z miłości tego dokonała.

- Zła to miłość.
- Nie ma złej miłości. Idź już. Znikam.

Powoli ruszyłem przed siebie. „Nie ma złej miłości”. Do miłości jesteśmy zrodzeni, zatem muszę kochać. Załadowałem trumnę na taczkę i zawiozłem pod sam grób, opuściłem do dołu i wieczne odpoczywanie odśpiewałem Starannie zasypałem grób, uklepałem łopatą nagrobek, trzonkiem odciskając znak krzyża. Kasja nie uroniła nawet jednej łzy.

- Popłacz trochę – zachęciłem. – Dla przyzwoitości. Ja piję, a ty płacz.
- Chcę, lecz nie mogę – odrzekła cicho, ze smutkiem.
- Jeśli nie możesz płakać, pij. Nie ma złej miłości, my jesteśmy źli.
- Napiję się – przytaknęła. – Powinnam przecież płakać. Nie byle kogo chowamy. Z butelki nie umiem pić.
- Nauczysz się. Wciągnij powietrze i pij. Płacz koniakiem, musisz płakać, męża przecież otrułaś.
- Co też ci przyszło do głowy? – zbladła i z determinacją przycisnęła szyjkę do ust.
- Hiob mi powiedział. Jego duch.
- Ładna rodzina. Dbałam o niego do końca, a on tak się odpłaca. – W afekcie po truciznę sięgnęłaś.

– Z afektu to ja zakatrupiłam piękną Helenę – był to głos Julii. Stała nieopodal tamaryszku. Odmieniona. Jej twarz płonęła zdrowym rumieńcem. Przeźrocyste szaty luźno zwisały z ramion.

- A to kto? – spytała Kasja.
- Wiedźma.
- Co za rodzina – Kasja z dezaprobatą uniosła brwi. – Bóg, diabeł i wiedźma. Kogo ja kocham.
- Nie wierzysz? Zaraz się przekonasz – Julia z wiklinowego kosza wyciągnęła, jeszcze ociekającą krwią, głowę pięknej Heleny. – Może wreszcie dotrze do ciebie moja szalona miłość.

– Miły Boże – padłem na kolana i wtuliłem głowę w ziemię nagrobka. – Hiobie, wstaw się za mną. Heleno, serce moje. – Pękły upusty moich łez. Powoli w szloch się przemieniłem. Gdy wyciekło ze mnie wszystko, cały mój smród, brud i resztkę alkoholu, poczułem suchość w gardle. Ktoś podsunął pierśiówkę. Nie patrząc łykałem łapczywie. Po chwili doszedłem do siebie, podniosłem się z ziemi.

- Nie ma Hioba, nie ma pięknej Heleny – szepnęła Kasja. –I, jak mówiłeś, nie ma złej miłości, są tylko złe czyny.
- Tak Hiob powiedział. Otrułaś go!
- Nie, przysięgam. Muchy nie potrafię zabić.
- Dlaczego więc cię oskarżył?
- Z dumy. Wstydział się samobójstwa.

Uwierzyłem Kasji, z tego powodu też bym nisko głowę nosił. Uwierzyłem, bo kto nie uwierzy kobiecie, która dzieli twój smutek. A może uwierzyć chciałem? Wciąż kołatały mi w uszach ostatnie słowa Hioba: „nie ma złej miłości, tylko nasze czyny nie zawsze są dobre”. Gorzka poezja. Cud metafory.

Wieczorem Kasja odprowadziła mnie na prom. Załadunek jeszcze się nie rozpoczął, ale chief był już na rampie. Podeszedłem do niego.

– Kapitan anulował wyrok? – zapytałem.

Uniósł brwi, szarpnął sumiastego wąsa i przyjrzał mi się uważnie, jak psychiatra: – Skąd takie brednie?

– Ludzie mówią.

– Nic się nie zmieniło, Piotrze. Mamy czas, powiadają.

– Czy już wiadomo, kto wykona wyrok?

Kiwnął głową i znowu szarpnął sumiastego wąsa. Wyciągnął fajkę, i przekładając ją z ręki do ręki spojrział wreszcie na mnie:

– Pierwszy elektryk. Uradzono, że najlepiej będzie potraktować cię prądem. Jak za oceanem. Pełna kultura. Krzesło elektryczne już gotowe.

– A datę ustalono?

– W ostatnim dniu przed zmianą. – Zniżył głos: – Jeśli chcesz pomogę ci zwać. Rozmawiałem o tym z radzikiem. Zgodził się. Głosował za, ale jest przeciw. Mamy chody, możemy przemycić cię do Patagonii.

– Dzięki, chiefie, ale nie skorzystam. Tu, czy tam – ten sam szafot.

– Namyśl się, my ze szczerego serca.

Wróciłem do Kasji.

– Dobre wieści – skłamałem. – Szmat życia przed nami.

– Wreszcie coś ludzkiego usłyszałam – odrzekła z uśmiechem

A ja w tym momencie zdębiałem. Piękną Helenę zobaczyłem, więc ze zdumienia przecierałem oczy. Na podeście trapu stała. Zoczyła mnie, uśmiechnęła, przywołała ręką. Pobiegnęłam w jej stronę, słysząc za sobą złorzeczenia Kasji.

ROZDZIAŁ XIII

Kurczy się moja droga. Jutro egzekucja. Dopiero jutro. Dzisiaj Kopenhaga – baśnie Andersena, Rasputin i Stalin. Od rana depczą po piętach, dwukrotnie starali się przemienić mnie w szczura. Nie zdołali.

Powyżej uszu mam tej ucieczki, niepewności, życia z godziny na godzinę. Póki co jest jeszcze piękna Helena i koniak. Gdyby nie one, dawno bym wyszedł z poezji. A wtedy raz dwa – i byłbym gryzoniem. Z koniakiem się nie rozstaję. Piersióweczkę mam zawsze przy sercu. Trochę boję się siedzieć w kabinie. Heleny nie ma, z przemytem chodzi, na kosmetyki zarabia, jakąś ekstrawagancję chce sobie kupić. Bez piękna strach. Grisza po korytarzach się włóczy. Dlatego siedzę tu, w holu, obok recepcji. Tu ludzie przewijają się nieustannie. Tylko z piciem gorzej. Kiedy chcę sobie łyknąć muszę iść do toalety.

– Uważaj, Stalin – ostrzegła Basia, recepcjonistka.

Sięgnąłem po butelkę, bez trików i uników. Wszyscy się na Kobę gapili. Oczy wytrzeszczali i bledli. Stalin nie podszedł do mnie. Zatrzymał się przy Marioli, podając plik papierów. Przejrzała je dokładnie.

– Mam Merca – krzyknęła dziko, ze spazmem. – Najnowszy model. Mam swoje marzenie!

– Uspokój się – skarcił uradowany Generalissimus i ścisnął jej rękę tak mocno, że przysiadła z bólu. – Podpisałaś pakt, więc rób, co ci kazałem. Nie baw się nędznym przemytem. – Zerknął spod oka w moim kierunku i zniknął na sekcji dziobowej.

– Przegoń ją od siebie – szepnęła Basia wskazując na Mariolę. – Trzymaj się od niej z daleka, całą noc hulala z Griszą. Świństwo szykuje. Nie mogę patrzeć na Twoją mękę. Chodź, pod serce schowam, tam cię nikt nie odnajdzie.

– Taka moja dola, Basiu, psi los, sam muszę sobie poradzić.

W holu pojawił się chief. Skinął głową. Podszedłem. Wcisnął mnie w kąt.

– Nie bój się, egzekucja nie odbędzie się. Proces to maskarada. Dla zamydlenia oczu. Byle dotrzeć do końca zmiany. Jutro się rozejdziemy. Jutro w krzaki – i szukaj wiatru w polu. Kapitan to łebski gość, z niejednego pieca jadł chleb, po kontraktach się włóczył. Napisz o nim wiersz. Nie daj się do jutra. A jeśli Patagonia – radzik czeka tylko na cynk.

– Przemysłem. Wolałbym jednak na Bora Bora.

– Gdzie to jest?

– Na Pacyfiku, tam, gdzie uciekł Gauguin.

– Można i tam, też daleko. No, trzymaj się – i szarpiąc sumiasty wąs ruszył w swoją stronę.

Zatem Julia mówiła prawdę. Dobra, kochana wiedźma. A ja tyle przykrości jej sprawiłem. Wiążąc myśli w logiczne pęczki kręciłem się po holu. Rosły mi skrzydła, jeszcze nie natchnione, lecz rosły. Gruzin chyba coś zwęszył, albo był tego blisko, ponownie zjawił się w holu. Koniecznie musiałem ulotnić się do miasta. Na promie zbyt niebezpiecznie. Nie mogłem ryzykować. Przecież i Grisza mógł czyhać gdzieś obok. Kto wie, co mają jeszcze w zanadrzu. „A może wyjść i wrócić do domu przez Szwecję”. Nic z tego, bez pięknej Heleny nie ucieknę. Wykluczone. Z nią, owszem. Nawet na skraj świata. Gdyby tylko... Ech, czapka niewidka by się zdała.

Zszedłem na dół. I cóż? Po cardeku kręcił się Grisza, gawędząc ze strażakiem. Nie było wyjścia, musiałem zostać Indianinem. Była to genialna myśl. Okrężnymi drogami podążyłem na dziób i po cumie zjechałem na ląd. Na ziemię Andersena. Lecz i ta ziemia ma policjantów. Zauważył mój wyczyn jeden z nich i kiwnął paluszką. Weszliśmy do jego służbówki. Zacząłem tłumaczyć w czym rzecz. Patrzył wysoce podejrzliwie. Na moje szczęście Stalin pojawił się na trapie. W mundurze z epoletami i gwiazdami bohatera. Policjant zobaczył i uwierzył; uwierzył, bo niemal dotknął palcem; ujrzał i zbladł. Widać i tu, w Danii kojarzono

Gruzina z piekłem. Z miejsca zadzwonił do swojego szefa. Odwrócił się do mnie i machnął ręką. Zrozumiałem gest.

Jednak dokąd iść? Oczywiście, że do Andersena. Pójdę pod hotel, w którym mieszkał i przeczekam. Ktoś się zawsze pojawia, jeśli oczekiwania wypełniamy nadzieją i odpowiednim uporem. Jak nie przyjdzie Andersen, to może pojawi się Kierkegaard. On też może ukryć, ma swoje przepaście, nie mniej cudowne, niżli Andersen.

Usiadłem na skwerku pod hotelem wysłuchując Ewangelii na dzień dzisiejszy. Mówiła o szatanie, który wyniósł Jezusa na szczyt świątyni, by stamtąd kazać mu skoczyć. Szaleństwo, wszędzie diabły. Nie chcesz być podobny światu, więc won ze świata. Niedoczekanie. Pozostanę. Nie pożrę nikogo i nikogo nie zniszczę. Będę wskrzeszał i poezję się.

Dla dodania animuszu pokrzepiłem się koniakiem. Nie wynaleziono jeszcze lepszego lekarstwa na mamy czas. Wypiłem, lecz z nieznanym bliżej powodów, słońce nie wypłynęło zza chmur i nie uśmiechnęło się do mnie. Zamiast słońca uśmiechnęła się nieznajoma kobieta

– Nie szuka pan, przypadkiem, pierwszej miłości?
– Bez obaw. Jeśli szuka pani, na pewno znajdzie – odpadem możliwie ciepło, zaskoczony otwartym pytaniem.

– Czyżby się panu poszczęściło?

– Tak, w Troi.

– Nie ma tam kogoś odpowiedniego dla mnie?

– To nie sprawa miejsca, lecz pragnienia. Niech pani spróbuje u Szekspira.

– Szekspir? Dziękuję! – odparła twardo. – Zakocham się w Otellu i co? Udusi. Wyjdę za Leara i zwariuję, jak on. A może pan?

– Wykluczone – zaprzeczyłem stanowczo. – Nie chcę pani narażać. Ścigają mnie zastępy diabłów.

– Naprawdę? – zapytała z niedowierzaniem w głosie. – To one istnieją?

– Jesteś tak naiwna, czy tak głupia?

– No, dobrze już, dobrze – rzekła z uśmiechem. – Żartowałam. Proszę się nie denerwować i wskazać drogę do tych pana diabłów.

– Opamiętaj się. To Stalin i Rasputin!

– Rasputin, powiedział pan? Słyszałam o nim. Czy to aby nie ten, którego kochała żona cara?

– Owszem – potwierdziłem. – Obecnie jest jednak diabłem. Zreflektuj się, kobieto.

– A może jestem księżniczką. Niewiele wiemy o sobie, prawda?

– Byłaby pani zdolna pokochać diabła?

– Ja mam kochać? – spojrzała nie bez zdumienia.

– Mnie mają kochać. I co pan teraz na to? Jestem nie byle jaką księżniczką. Z baśni Andersena.

– W porządku – z rezygnacją skinąłem dłonią. – Może wobec tego księżniczka napije się ze mną?

– Jak pan śmie – odrzekła, wyciągając rękę po butelkę. – Jak pan śmie – powtórzyła i przechyliła piersiówkę. – Co to jest?

– Koniak. Camus.

– Chyba przerzucę się na koniak. Dobry, whisky mi już obrzydła.

– Oto spadła mi księżniczka z nieba – skwitowałem, chowając butelkę. – Księżniczka szuka miłości, a ja Andersena.

– Niebawem tu będzie – odparła, bez zachęty sięgając po butelkę. Widać było, że ma w tym wprawę. – O, już idzie, niedojda. Zaraz zacnie kwękać.

Tak, to był Andersen. Nie liczyłem, że przyjdzie. Czekałem, owszem, ale bez pewności. Geniusz jest wielkoduszny, jednak przyszedł. Odebrał księżniczce butelkę, pogroził palcem, a następnie zdjął z niej perukę i maskę.

– Wracaj do baśni – rzekł dobrotliwie. – Pan na mnie czeka, prawda? – zagadnął, gdy księżniczka odeszła. – Czym mogę służyć?

Naświetliłem całą sprawę i poprosiłem, aby schował mnie w swoich baśniach.

– Sprawa gardłowa, mogę liczyć na pomoc?

– Z chęcią – odrzekł po chwili milczenia. – Nie mogę jednak znaleźć dziury w całym. Baśnie są znane i czytane. Proszę powiedzieć, w której baśni pana ukryć? Podejrzewam, że diabły też czytają.

– A może napisze pan specjalnie baśń dla mnie.

– Przecież ja nie żyję. Umarli nie tworzą. Spotkaliśmy się tylko dlatego, że wstąpił pan w poezję. Przykro mi, muszę iść. Mamy czas nastał, do cna mamy, bez smaku. Moje baśnie chyba już nie udźwigną tych czasów – podał rękę na pożegnanie i oddalił się.

Cóż, co mógł ofiarować. Choć chwilę rozmowy. Nie jest przecież cudotwórcą. Gołnałem sobie, aby zastanowić się, co dalej. Decyzja zapadła. Wracam do domu promem. Jeśli im zwieję, mogą udusić Helenę. Pokręcę się po mieście do dwudziestej pierwszej, a potem ukradkiem przemycę się na statek. To tylko jedna noc, jeden krok przez morze. Lecz gdzie się ukryję? I tak dumając o tym, siwiałem i goiłem koniak. Wreszcie trunek genialną myśl mi podsunął, z radości pocałowałem butelkę. Początkowo myślałem o Ewie, kasjerce. W jej walucie zamierzałem się ukryć. Lecz w porę nadeszła refleksja. Po walutę każdy diabeł sięga. Wówczas, koniak, w odpowiedniej dawce wchłonięty, zanucił balladę Villona: „Ach, gdzież są niegdysiejsze śniegi?” Głodnemu chleb na myśli, a więc śnieg skojarzył się natychmiast z dessous. A jeśli halki, to kto? Nikt inny, tylko Bożena B. Nosi ich zawsze co najmniej sześć. Długie do kostek, z falbankami, aplikacjami, białe i kolorowe, krochmalone i miękkie, sterylizowane i perfumowane. Sezam nie halki. W nich się ukryją. Dessous to święta strefa, diabły tam nie zaglądną, zakazano im. Bożena nie odmówi, ma gorące serce i zna świat. Sensu życia szuka, pomoże; poety przecież pragnie za męża. Chociaż nie wie jeszcze, że każdy poeta to większe utrapienie, niż mendel dzieci. Bożena przyjmie. Pójdę do „Varehusa”, tam często bywa. Wspomnę jego poetycką mość Jakóba, który z czartami na rękę się mocuje, jak niegdyś z biblijnym aniołem. Dzisiaj ostatni dzień przed zmianą załogi, więc pojawić się tam musi.

Gołnałem i powlokłem się w stronę deptaka. Szedłem i kontemplowałem Hölderlina, razem z nim przemierzałem okryte śniegiem wzgórze Owerni i ulice Bordeaux w poszukiwaniu chleba i sensu. Zdruzgotany już i bliski obłędu prosił, abym nie dał sobie odebrać piękna Heleny, jak on niegdyś pozwolił pozbawić się Susette. Odprowadziłem skołatanego do cieśli Zimmera, na pożegnanie racząc koniakiem. Nie odmówił, łyknął i pobłogosławił drogę, którą szedłem. I na tej błogosławionej drodze dopędziła mnie wiedźma Julia.

– Jak nie u Andersena, to u Hölderlina – rzekła z wyrzutem. – A ja biegam po Kopenhadze z wywalonym językiem, jak wariatka. Musisz uważać, ktoś doniósł o twojej wycieczce. Już szukają cię w mieście. Ukryj się w poezji, tam nie wejdą. Już kiedyś tę sztuczkę zademonstrowałeś, pamiętasz? Nie wychodź do rana, o świcie pryśniemy i żegnaj Afryko! Aha, przyszedł telex do Heleny. Mąż na nią czeka, jachtem przyplłynął z Wysp Bahama – dodała na koniec, nie bez satysfakcji

– Łżesz, jak zwykle.

– Proszę, oto telex, czytaj. Ja nie porzucę cię nigdy.

– Ale ty przecież kośćmi dzwonisz.

– Mam się z tego powodu powiesić, czy co? Przez ciebie zostałam wiedźmą. Siedź w poezji, nie mędrkuj.

– Koniak się kończy, Julio. Bez koniaku nie mam natchnienia. Sto gram zostało, mniej niż psu mucha.

– Zaraz przyniosę, ale siedź tu i nie ruszaj się – posadziła na ławce, przy fontannie. – Dwie butelki wystarczą? Do wieczora daleko. Tylko nie próbuj odchodzić – i oddaliła się szybko, dzwoniąc kośćmi.

Cóż, czekać to czekać. Ale w nieszczęśliwym miejscu usadowiła mnie Julia. Koba i Grisza szli w moim kierunku, węsząc jak psy i rozglądając się uważnie. Momentami Koba biegał na czworakach niczym posokowiec. Zatrzymali się na chwilę przy dezernerze rosyjskim, grającym na bajanie jakąś tam stepową rzewność. Zamienili z nim parę słów, pogrozili pięścią i znowu ruszyli na szlak. Ze strachu prawie mnie sparaliżowało. Wypiłem więc ostatnie sto gram i skuliłem się w sobie. Intuicja podszeptowała, że nie zauważą. I rzeczywiście. Zatrzymali się parę metrów przede mną w sporej rozterce.

– Czuję, on tu jest – rzekł Koba. – Węch mnie nigdy nie zawodzi. Dalej nie idziemy. Skup się, Grisza, gdy ujrzysz – natychmiast przemieniał w szczura.

– Wciąż jestem na chodzie – odrzekł szarpiąc tłustą brodę. –Z rodziną carską poradziłem sobie, a z nim nie mogę. Rozdzielmy się, aby cały plac mieć na oku.

Zajęli wyznaczone stanowiska, niczym para wyborowych strzelców. Po głowie zaczęły hulać myśli: „Może w kościele się schować, lub przy grobie Kierkegaarda?”

I tak tańcząc z pomysłami, nuąc ich jazzowe motywy, sam nie wiedząc kiedy, znalazłem się niespodziewanie na deptaku. Pogalopowałem w stronę promu, desperacko, rozpaczliwie, koniak przy sobie nie miałem, a to znaczyło – śmierć. Przy fontannie, tej królewskiej zoczyłem Julię. Nie zawiodła. A już posądzałem ją o zdradę. Jednak nie ona powiedziała swoim chlebobawcom, gdzie czekam. Wciągając w pierwsze drzwi wręczyła butelki.

– Uciekaj, idą za tobą – szepnęła, prawdziwie przerażona. – Najlepiej do kościoła.

Natychmiast łyknałem, raz i drugi. Ulżyło. Istotnie szli w naszym kierunku. Ulica nagle opustoszała. Ruszyłem powoli, aby sprawdzić, czy zauważą. Dojrzeli, palcem sobie pokazali. Jeszcze raz łyknałem, ile pary w nogach pędząc w kierunku królewskiej kaplicy. Była najbliżej. Obejrzałem się raz jeszcze. Niemal po piętach deptali, ale i kaplica była w zasięgu ręki. Jeszcze tylko jeden wysiłek, jeszcze parę schodów i wbiegłem do środka. Zatrzymałem się, z trudem łapiąc oddech. Lecz już byli przy drzwiach. Ruszyłem w kierunku ołtarza. Wtem ołtarz zaczął się oddalać, coraz bardziej i bardziej, w końcu przybierając kształt otwartej bramy Troi. Ujrzałem Priama z wyciągniętymi w moją stronę rękami.

– Szybciej – krzyczał – szybciej!

Lecz ja szybciej już nie mogłem, serce podpłynęło do gardła, przecisnęło się przez nie i upadło na ziemię. Runąłem w ciemność.

Tak mnie dopadli. Nie broniłem się, brakowało sił. Z trudem odnalazłem zagubione serce i ukryłem się w nim, aby uniknąć przemiany w szczura. Jeśli musiałem umrzeć, to przynajmniej jako człowiek.

– No, Grisza, do roboty – zachęcał Koba, zdzierając ze mnie odzienie. – Spraw mi przyjemność, zamień go wreszcie w szczura.

– Nie dam rady – wściekle warknął Grisza. – W sercu się ukrył.

– Partacz jesteś. W takim razie załatwimy go inaczej.

Pięć kindżałów wbito we mnie. W obie ręce i nogi, w gardło. I kindżałami przybito do bram Troi.

– „To już koniec” – pomyślałem, wychylając się z serca, aby ostatni raz popatrzeć na świat. I znowu zgroza mnie ogarnęła. Zobaczyłem piękną Helenę przytuloną do Rasputina.

– Nie kupcz mną, proszę.

W ostatnim zrywie zapragnąłem oswobodzić ją z rąk tych kanalii. Nie zdołałem, runąłem w świetlistą bezdenność.